Nr. 43. 30 h. = 25 fen.



SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.



Kraków, dnia 26 marca 1910.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Oberża pod Awinionem.**



— Kupi pan te rubiny, panie Sarrien? — spytał właściciel oberży jarmarcznego złotnika.

Nr. 43. Kraków, dnia 26 marca 1910. Nr. 43.

Przedruk wzbroniony.

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Główny skład na Królestwo Polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ul. Waliców 5.

OBERŻA POD AWINIONEM.

ROZDZIAŁ I.

Winny.

— Siedzący na ławie oskarżonych jest winny. Wasze wewnętrzne przekonanie, sędziowie przysięgli, mówi wam to, tak jak i mnie. Zamordował, popełnił pierwszy grzech, który zna tradycya biblijna, spełnił czyn Kaina, zabił własnego brata. Oczekuję waszego werdyktu, panowie, a może nim być tylko — werdykt skazujący.

Prokurator skończył.

Na sali, przeznaczonej na posiedzenie sądu przysięgłych małego, prowincyonalnego miasteczka francuskiego, zapanowała ciężka atmosfera.

Przysięgli, mali rolnicy, kierujący się raczej uczuciem niż rozumem, spoglądali na mężczyznę oskarżonego, którego życie leżało w ich ręku. Ich wzrok jednak nie zwiastował litości ani współczucia.

Baron de Chavresac siedział na ławie oskarżonych blady ze skrzyżowanemi rękami; obwiniano go o bratobójstwo. Wzrok jego niedawno jeszcze śmiało i wesoło patrzący na świat, był teraz zwrócony na prokuratora, który podniósł straszne oskarżenie przeciwko niemu, posadzonemu bez litości na strasznej ławie; bladość oblicza i ogólne drżenie całego ciała wskazywało na wzruszenie jakie nim miotało. Każdy nerw jego serca drżał szlachetnem oburzeniem, jego dusza wzdrygała się przed hańbą, którą jej przypisywało fantastyczne. bezwzględne przemówienie prokuratora. A on, który nie był przyzwyczajony słuchać ani setnej części podobnie obraźliwej mowy, musiał milczeć.

Przewodniczący trybunału przerwał ciszę:

— Ma głos pan obrońca — rzekł.

Ława przysięgłych, zarówno jak i przysłuchujące się audytoryum, poruszyli się niecierpliwie na swych miejscach. Co tu było jeszcze do przytoczenia na obronę? Jaką łagodzącą okoliczność można podawać wobec tak ohydnego morderstwa. Ktoby jeszcze wątpił o niewinności oskarżonego, po dokładnych wywodach oskarżyciela publicznego?

Mecenas Lagasse przemówił w ten sposób:

— Strasznie przykry jest obowiązek prokuratora. Na wszystko, co jest dobre i szlachetne musi przymknąć oczy, a swój badawczy zmysł zwrócić na same rzeczy złe. Rzeczywiście publiczny oskarżyciel nie opuścił przed chwilą najmniejszej sposobności, aby nie przedstawić wszystkich ujemnych stron charakteru mego klienta i z całą bezwzględnością zażądał ukarania go śmiercią. Ale jak słabe były te wywody!

Zanim się zwrócę do osoby oskarżonego barona de Chavresaca, zrekapituluję pewne szczegóły odnoszące się do przypisywanego mu czynu. Chcę wam, moi panowie, wskazać wszystkie ogniwa, z których zrobił oskarżyciel sztuczny łańcuch swego aktu oskarżenia nader słabo złączony i w całości dający się też łatwo obalić.

Baron de Chavresac miał brata. Byli oni jedynymi przypuszczalnymi dziedzicami majątku wuja, zmarłego markiza de Bosmareuil.

Markiz znany był jako dziwak, któremu życie mego klienta w Paryżu nie podobało się z wielu względów. Więcej skłaniał się do drugiego brata, który żonaty od dwu lat, gospodarował na małym folwarku w Tourainie i którego mrówcza praca, odpowiadała poglądom zdziwaczałego starca.

Markiz zachorował poważnie. Gdy siostrzeniec markiza, Bernard, którego Bosmareuil kochał i z nim nader często korespondował, dowiedział się o tem, pospieszył natychmiast automobilem z nad Loary na południe Francyi, tu do nas, aby swemu wujowi osłodzić ostatnie jego chwile.

Ponieważ miał zamiar pozostać dłuższy czas u swego wuja, przybył wraz ze swą młodą żoną, która wzięła ze sobą stalową szkatułkę, a w niej drogocenne klejnoty.

Szkatułka ta, którą przywiózł ich krewny przed laty z wschodniej Azyi, miała pewną właściwość. Otwierała się przez przyciśnięcie guzika, który zatajony był zręcznie w ozdobach, jakiemi była cała szkatułka pokryta. Tę tajemnicę kasetki, która jest arcydziełem sztuki jubilerskiej, znały cztery tylko osoby: Bernard de Chavresac, jego żona, dalej markiz de Bosmareuil i mój klient Paweł de Chavresac.

W swej spiesznej podróży automobilowej do chorego wuja doznaje para małżeńska, na trzydzieści kilometrów od swego celu podróży, przymusowego zatrzymania. Maszyna od samochodu nagle się zepsuła. Było już po północy. Pomimo wszelkich wysiłków nie dało się odkryć doznanego uszkodzenia. Działo się to na szosie do Awinionu. Całe szczęście, że na drodze znajdowała się w pobliżu oberża, stojąca na osobności, posiadłość małżeństwa Leblanc; do tej doszli pieszo, podczas gdy automobil został pod strażą szofera na drodze.

Leblancowie przyjęli gościnnie parę małżeńską, i podczas gdy pani de Chavresac została w oberży, pospieszył de Chavresac z właścicielem oberży z powrotem na drogę, a przy pomocy szofera udało im się samochód zaciągnąć do szopy oberży.

Szofer zaniósł kasetkę do pokoju państwa, a potem wszyscy udali się na spoczynek.

Najbliższego dnia udało się naprawić mechanizm automobilu przy pomocy przywołanego z Awinionu mechanika. Podróżni wsiedli i w półtorej godziny byli w zamku Bosmareuil, w posiadłości ich wuja.

Jego stan zdrowia tymczasem pogorszył się na tyle, że telegraficznie zawezwano mego klienta i oczekiwano go tego dnia.

O jedynastej godzinie przedpołudniem zauważyła małżonka Bernarda, że niema szkatułki.

Szofer przysięgał na wszystkie świętości, że od chwili przyniesienia kasetki do państwa w oberży Leblanców, więcej jej nie widział. Baron Bernard był zdania, że musiano kasetki zapomnieć w pośpiechu w gospodzie, siadł do automobilu i pojechał sam do oberży.

Mógł powrócić w ciągu trzech godzin, tymczasem minęło południe, godzina czwarta, piąta, a jego nie było widać. Małżonka była w rozpaczy.

Kiedy szwagier Paweł przyjechał z Paryża, cały zamek był w poruszeniu. Markiz leżał bezprzytomny w salonie, nikogo nie wpuszczano do niego, a w bocznym pokoju biadała baronowa de Chavresac niespokojna o swego męża.

Paweł siadł w tej chwili na najlepszego konia, znajdującego się w stajni, a ponieważ był przedtem oficerem kawaleryi, więc jazda konna nie była dla niego nowiną.

W pełnym galopie przybył w dwu godzinach do oberży.

Właściciel, który to wszystko tutaj jako świadek potwierdził, stał przed drzwiami swej oberży i na zapytanie mężczyzny, zsiadającego z konia okrytego pianą, odpowiedział, że był tu pan w automobilu, kasetka znalazła się na górze, pan ją wziął i powrócił tą drogą, którą przybył.

Chavresac dosiadł konia i jechał z powrotem. Wywiadywał się w Awinionie.

Widziano w południe automobil, ale z powrotem nikt go nie zauważył. Nic nie zdziaławszy powrócił do zamku. Wuj tymczasem umarł, a o bracie ani słychu.

Następnego dnia znaleziono zwłoki barona de Chavresaca. Leżał obok automobilu w sześćdziesięciometrowej, prawie niedostępnej przepaści, którą zabobonni mieszkańcy nazywają „dyablą dziurą". Oględziny sądowe wykazały ranę w plecach, którą lekarze orzekli jako śmiertelną. Zamordowanego wraz z automobilem zepchnięto w przepaść; obok zmiażdżonego barona i roztrzaskanego samochodu leżała zamknięta kasetka.

Gdy ją otworzono była próżną, kosztowności zginęły, zarówno jak i portfel, który miał przy sobie zamordowany, zawierający koło dwudziestu tysięcy franków.

To są znane szczegóły, panowie przysięgli!

Do tego przyłącza się okoliczność, że otworzono testament zmarłego markiza, który Bernarda t. j. zamordowanego, mianuje uniwersalnym spadkobiercą. Śmierć Bernarda, jak orzekli lekarze, nastąpiła wcześniej niż markiza, więc podług ustawy spadkobiercą jest mój klient, Paweł de Chavresac.

Ten fakt, moi panowie przysięgli, uważa pan

prokurator za wystarczający, aby dać wiarę nieprawdopodobnemu oskarżeniu wdowy. Jej podejrzenie wystarczyło, aby skonstruować oskarżenie, które jest niebywałe w dziejach sądownictwa. Człowiek, którego podejrzywają o morderstwo, ma swój własny majątek. Całe jego dotychczasowe życie jest jednem pasmem uczciwości i ten człowiek, który poszedł szukać swego brata, miałby go podstępnie zabić na ulicy?

Dlaczego?

Testamentu nie znał przecie.

Kiedyż miał spełnić ten mord?

Zamordowany miał według zeznania świadków Leblanców wracać automobilem koło 12 w południe, a Paweł opuścił zamek Bosmareuil o godzinie 5-tej popołudniu.

Te dwa zdarzenia powinny już obalić ten dom z kart oskarżenia pana prokuratora.

Ale nie jako człowiek, którego uwolniono z braku dowodów, ma ten budynek sądu opuścić mój klient. Nie! z podniesioną głową, z przekonaniem, że uwierzono w jego niewinność i uczciwość.

Tu obrońca przerwał na chwilę, jakby chciał jeszcze raz zebrać dowody niewinności swojego klienta. Następnie ciągnął dalej.

Przedstawił, jak Paweł de Chavresac cierpi niewinnie wskutek ślepej nienawiści swej szwagrowej, a jednak do tego czasu nie odezwał się do niej ani słowa, gdyż poważa jej boleść i cierpienie.

Przedstawił również wojskową karyerę Pawła, która była jednym ciągiem szlachetności w postępowaniu i obcowaniu z ludźmi. Apelując do ludzkiego sumienia przysięgłych, zakończył swą mowę:

— Nie przepisuję wam brzmienia waszego werdyktu, sędziowie przysięgli. Głos ludu jest głosem Boga. Ja składam los mego klienta z zaufaniem i błogą ufnością w wasze ręce.

Teraz idźcie i przynieście nam prawdę.

Znowu nastała przygnębiająca cisza na sali, która sprawiała wrażenie, jakby żałobne śpiewy kościelne przebrzmiały na sali i tylko wśród słuchaczy słychać było płacz niektórych kobiet.

— Głos ma teraz oskarżony — przemówił przewodniczący trybunału.

Paweł de Chavresac wstał.

— Dziękuję. Nie mam nic do dodania do przemówienia mego obrońcy.

Przysięgli wstali i udali się za zwierzchnikiem ławy do sali obrad.

Wieki trwająca godzina upłynęła, nim powrócili.

Sędziowie ludowi zajęli swoje miejsca a zwierzchnik przeczytał wyrok głosem pewnym i silnym, bez najmniejszego drżenia, jakby życie ludzkie nie stanowiło żadnej wartości w sercu tego człowieka.

Werdykt opiewał skazująco. Baron Paweł de Chavresac został skazany na dożywotnie przymusowe roboty.

ROZDZIAŁ II.

Niespodziewane odwiedziny.

Paweł de Chavresac siedział w swej celi, przy nim jego obrońca, który wszelkimi sposobami poddawał mu rozmaite zarzuty przeciw wyrokowi, aby unieważnić pierwsze wydanie wyroku.

Skazany nie zdawał się nawet słuchać wywodów obrońcy. Wydawało się, że jego myśli idą w przeciwnym kierunku, niż adwokata; nagle przerwał mecenasowi, odzywając się gwałtownie:

— O ile nie podpiszę rewizyjnego aktu, w przeciągu ośmiu dni znajdę się w „Ile de Re“.

— Naturalnie, a stamtąd przetransportują pana do Cayenny w Gujanie. Byłoby jednak błędem szalonym, panie baronie, przyjmować ten tak niesprawiedliwy wyrok bez sprzeciwu — potwierdził Legasse.

— O tem niema mowy, abym przyjął — rzekł Paweł de Chavresac, podnosząc się z pryczy ze swego jedynego siedzenia, nie bardzo wygodnego.

Na bladem obliczu uwięzionego malowała się niczem nie dająca się złamać energia, a w oku jego można było widzieć promień ostatniej nadziei. Już długo zdawał się był namyślać nad pewnym planem, który dopiero teraz nabrał konkretnej formy.

Stanął przed swym obrońcą i patrząc mu prosto w oczy, rzekł:

— Mecenasie, podpiszę rewizyjne podanie nie dlatego, abym się spodziewał, że inna ława przysięgłych nabierze przekonania o mojej niewinności, tylko z tego jedynie powodu, abym miał więcej czasu.

Mój brat został zamordowany. Ponieważ twierdzą stanowczo, że ja jestem jego mordercą, niema mojem zdaniem lepszego środka uniewinnienia mojej osoby, jak aby wyszukać prawdziwego mordercę. Ponieważ mnie skazano, przeto prawdziwy

morderca będzie się czuł teraz bezpiecznym i przez to prędzej da się złapać.

Obrońca Lagasse przerwał mu:

— Ależ nowy proces wykaże pańską niewinność.

— Tego z góry wiedzieć jeszcze nie można — rzekł de Chavresac, wstrząsając głową. Moje zaufanie w sprawiedliwość sądów naszego kraju strasznie upadło w moich oczach, wskutek praktyki na własnej osobie. Poznałem zdanie naszych sędziów śledczych z tej strony, że na podstawie nie dających się utrzymać dowodów, budują niszczące oskarżenia. Nie mam ochoty drugi raz oddawać się podobnej operacyi. Jest jednak jeden człowiek, który mnie może uratować i wykazać mą niewinność.

— Któryż to? — spytał zdziwiony obrońca.

Chavresac milczał pewien czas, jakby rozważał dokładnie jeszcze raz swój plan i rzekł silnym głosem:

— Szerlok Holmes.

— Anglik?

— Tak jest. O ile istnieje jakaś pomoc dla mnie, to tylko leży w nim. Co wiem o jego skutecznej działalności, to upewnia mnie tylko w mojej nadziei. Posłuchaj mnie pan cierpliwie, panie obrońco: Musi się pan za mnie porozumieć z detektywem, albowiem tutaj go do mnie nie wpuszczą.

Aby mu dać dosyć czasu, podpiszę podanie. Do wyznaczenia nowej ławy przysięgłych upłynie z pewnością z 3 miesiące i o ile to będzie możliwem dla słynnego detektywa odkryć mordercę mego brata, to ten czas wystarczy mu zupełnie dobrze na tegoż wykrycie.

Lagasse nie mógł się sprzeciwiać temu planowi. Sam był najświęciej przekonany o niewinności swego klienta, a nie było radykalniejszego środka na dowiedzenie niewinności tegoż, jak przez wytropienie właściwego mordercy.

Do tego przyłączało się i to, że i adwokat wiedział o pomyślnych wynikach pracy kryminalistycznej słynnego detektywa. Nie opierał się przeto zupełnie planowi swego klienta.

I jemu udzieliła się ta ufność, że sprawa weźmie pomyślny obrót.

Z podpisanem podaniem opuścił mecenas celę barona de Chavresac'a. Jeszcze tego samego dnia odeszło podanie do sądu kasacyjnego, a na drugi dzień rano otrzymał obrońca Lagasse depeszę z Londynu, że światowy detektyw jest z gazet zupełnie dobrze poinformowany o całej aferze i oczekuje w Paryżu najrychlejszego spotkania się z nim. Tego samego dnia wieczorem, po poinformowaniu swego klienta o stanie rzeczy, wsiadł adwokat do nocnego pociągu, który przychodzi rano do Paryża na dworzec orleański.

W Grand Hotelu spotkał się ze słynnym detektywem, czekającym już na niego.

Przedstawili się sobie i mecenas Lagasse chciał przedstawić Holmesowi cały przebieg sprawy.

Jednak Szerlok przerwał mu zaraz z początku.

— Prosiłbym na razie nie wspominać o całej sprawie. Ma pan zapewne akta procesu ze sobą?

Mecenas potwierdził to skinieniem głowy, a detektyw mówił dalej:

— Nie zechciałby pan mi ich udzielić. Przestudyowałbym je. Teraz jest wpół do 11-tej. O pół do 2-giej będę panu na usługi i prawdopodobnie powiem już, jak stoi nasza sprawa i jakie mamy widoki.

Stanowcza i węzłowata mowa Holmesa, przeraziła żywego Francuza. Z drugiej strony wyrobiła się niezbita pewność, że o ile jaka pomoc może przyjść, to tylko od Holmesa. W tem godził się na zdanie swego klienta.

Otworzył swój ręczny kuferek i dał detektywowi cały plik aktów.

— Wątpię, panie Holmes, abyś był gotów z tem do wpół do 2-giej.

Śmiejąc się, odparł Holmes, usuwając wszelkie zwątpienia.

— Do tego czasu będę obeznany z każdym szczegółem całej afery.

Z tymi słowy wziął akta i udał się do swego pokoju.

Punktualnie o naznaczonej godzinie przyszedł do obrońcy Lagassa i zwrócił mu akta.

— Czy pozwoli mi pan kilka pytań? — przemówił Szerlok, a gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź adwokata, zaczął:

— Czy widziano zamordowanego w Awinionie, jak jechał z Bosmareuil do oberży Leblanców?

— Tak jest.

Holmes ciągnął dalej:

— Według zeznań Leblanców, wracał z kasetką. Nie widziano go jednak z powrotem nawet w Awinionie, w którem bądź co bądź automobil nie należy do codziennych zjawisk i dlatego musi wpadać w oczy, kiedy pędzi ulicą.

— Tak jest! Małżeństwo Leblancowie — wy-

jaśnił Lagasse — są ostatnimi, którzy widzieli barona de Chavresac przy życiu.

— Czy „Dyabla dziura“, w której znaleziono zwłoki barona wraz z automobilem, znajduje się między oberżą a Awinionem?

— Nie — rzekł Lagasse — przepaść leży pół kilometra za oberżą, jak jedzie się z Awinionu, na zachód od szosy.

— Tak — Dziękuję panu — rzekł po krótkiej chwili Holmes.

— Wynotowałem sobie z aktów opisy kosztowności i zawartość zaginionego portfelu. Ale jeszcze jedno pytanie — przerwał Holmes.

— Czy pokazywano na sali rozpraw, jak się kasetka otwiera?

Lagasse namyślał się pewien czas, później odparł:

— Mówiono o tem, ale nie demonstrowano. Kasetka stała otwarta wraz z innymi rzeczami dowodowemi przed przysięgłymi.

— Jakie to były kawałki? — badał Holmes.

— Poszczególne części rozbitego automobilu, dalej przedziurawiona odzież zamordowanego, kasetka i jej ozdoby, które odleciały spadając w przepaść.

— Kasetka miała ozdoby? — wywiadywał się Holmes.

— Tak, była pamiątką po dziadku, który ją przywiózł z podróży po wschodniej Azyi. Jestto japońska robota, stal cyzelowana, pokryta ładnie wykutemi sztabkami złota, połączonemi ozdobnie. Przy gwałtownem upadku w przepaść musiała trącić o wystające złomy kamieni i część tych ozdób odpadła.

Szerlok Holmes podszedł do okna i patrzył dłuższy czas na ruch uliczny, jakby w przejeżdżających omnibusach, fiakrach lub wozach szukał rozwiązania zagadki.

Lagasse czuł, że nie należy przerywać zamyślonemu Holmesowi i milcząc patrzył na detektywa, który miał przynieść ratunek jego klientowi.

Holmes odwrócił się od okna.

— Mecenasie, niełdnie jest i zarazem czasem niewdzięcznie przepowiadać własne wyniki i dlatego też nie mogę z całą pewnością twierdzić, żę uda mi się wpaść na właściwy trop.

To jedno mogę tylko powiedzieć, że widoki są niezłe.

Przedewszystkiem na podstawie aktów i z kilku drobnostek, których na razie nie mogę zdradzić panu, jestem przekonany o niewinności barona. A to przekonanie wystarcza mi dostatecznie, aby mnie zmusić do narażenia się na największe niebezpieczeństwo i dowieść światu o niewinności barona de Chavresac.

Tem na razie musi się pan zadowołić, gdyż więcej nie mogę powiedzieć. Kiedy pan wraca do Awinionu?

– Wieczornym pociągiem — odparł Lagasse.

— Dobrze – rzekł Holmes — prawdopodobnie odwiedzi pan swego klienta. Raczy mu pan donieść, co panu powiedziałem.

Proszę mu powiedzieć, niech będzie dobrej myśli i nie traci nadziei, a przedewszystkiem niech zachowa dyskrecyę zarówno jak i pan i nikomu nie wspomina o środkach podjętych.

Nie staraj się pan również ze mną widzieć gdyż to mogłoby mi właśnie przeszkodzić w moim planie. Wprawdzie nie mam dotychczas określonego działania. Powstaje ono zwykle wtedy, gdy stoję już przed jakąś rzeczą i to nie zawsze, gdyż niespodziewany czasem czynnik nadaje mym myślom inny bieg.

Dlatego proszę mnie zostawić w spokoju i na boku. W potrzebnej chwili wystąpię i dam się poznać.

Teraz zaś pozwól się pan, panie mecenasie, pożegnać. Moja działalnosć dla wykazania niewinności barona de Chavresac'a zaczyna się z chwilą obecną.

Detektyw wyciągnął rękę do adwokata, uścisnął ją i opuścił pokój.

ROZDZIAŁ III.

Domokrążca.

Życie w małych miasteczkach i wiejskich powiatach francuskiego południa wykazuje, że mieszkańcy jego są równie konserwatywni, jak i mieszkańcy Hiszpanii i Włoch.

Zwyczaje i obyczaje zmieniają się tu bardzo powoli i chociaż wdziera się tu cywilizacya i postęp, to jednak stary zwyczaj wychodzi mimo to zwycięski.

Sieć kolejowa, która od Marsylii począwszy, pokrywa całe południe, jest wcale gęstą. Szosą jadą automobile, obok nich widać także wóz pocztowy, który podskakując po wybojach, pędzi drogą.

Wieśniak, zarówno jak i prowincyonalny mieszczanin, ufa więcej swemu koniowi, niż pędzącej z pośpiechem maszynie benzynowej.

Ta sama wytrwałość w zwyczajach cechuje również posiadaczy większych gospodarstw rolnych. Mały dzierżawca uprawia swą rolę tak samo, jak to czynił przed 300 laty. Pługi parowe i sztuczne nawozy są dla niego cudami i o ile je nawet zna, to nie ma do nich żadnego zaufania. W handlu dzierży prym wędrowny handlarz, który chodząc od chaty do chaty, sprzedaje swój towar. Duże sklepy i składy należą tu do rzadkości.

Taki handlarz należy do najcharakterystyczniejszych postaci w Prowansalii i Gaskonii. Jest on osobą, znającą wszelkie warunki, jak i powiernikiem najrozmaitszych tajemnic.

Przedewszystkiem jest kupcem i sprzedawcą, a jeśli wymaga tego interes, milczy jak grób. Nie pyta o pochodzenie rzeczy, które ma kupić i z tego powodu jest dla okolicznych złodziei znakomitym przechowywaczem, który zawsze wykręcić się potrafi władzy.

Ma specyalne źródła wśród podejrzanych jednostek, które załatwiają z nim niezbyt czyste interesa, przeważnie w portowych szynkach Marsylii. Jeśli naprzykład skradziono jakąś ozdobę kuracyuszce w jednem z miejsc kąpielowych, to w kilka dni, lub tygodni, można ją będzie widzieć, jako własność podejrzanej piękności w Lewancie; tu już ramię francuskiej sprawiedliwości straciło wszelkie znaczenie, gdyż tak daleko ono nie sięga, aby przeprowadzić dowód winy aż przez wezwanie świadków z Małej Azyi. Przez to złodziej i przechowywacz są kryci.

Pewnego dnia popołudniu zgłosił się do handlarza starożytności i jubilera Dawideta, taki właśnie handlarz. Dawidet posiadał swój sklep w jednej z bocznych ulic Marsylii.

W tym czasie odbywały się z powodu karnawału wszędzie na prowincyi zabawy ludowe, rodzaj kiermaszu; był to złotodajny czas dla domokrążców.

Stary Dawidet, który siedział w ciemnem oświetleniu naftowej lampy za ladą, nie zdziwił się odwiedzinami obcego handlarza, bo nie wątpił, że wybierze sobie rzeczy u niego, dla handlu potrzebne.

Okoliczność, że nie znał kupującego, nie robiła na nim żadnego wrażenia. W ogólności to nie było ani podejrzanem, ani dziwnem, gdyż ci ludzie przebiegali całą Francyę wzdłuż i wszerz, ze swomi wędrującemi sklepami. Przychodzą oni nieraz z nad brzegów morza Śródziemnego i dążą aż do wybrzeży bretońskich a czasem zdarza się, że taki przekupień nie pokazuje się w okolicy kilka lat.

Stary Dawidet przygotowywał się wyłożyć przed kupującym swoje osobliwości. Przyzwyczajony był pokazywać jak najwięcej towaru.

Handlarz, stary już człowiek, któremu z pod kapelusza wyglądały nieuczesane włosy, przerzucał łapczywymi palcami i bystrym wzrokiem towary jubilera. Rzeczy, które wydawały się mu drogie, nie interesowały go zupełnie.

Broszki z kamieniami „double“, pozłacane pierścionki z fałszywymi kamieniami, przedewszystkiem wszystko takie, co było nieprawdziwe lub liche, wybierał z całej tandety i odkładał dla siebie.

Gdy już wybrał odpowiednią ilość, zaczęła się najżmudniejsza dla obu stron część pracy i najtrudniejsza, mianowicie handel o cenę.

Różnica między ceną, dawaną przez starego handlarza, a ceną, żądaną przez jubilera Dawideta, zdawała się być do niewyrównania. Obaj trzymali się stale cen przez siebie podanych, tak, że zdawało się, że kupno nie przyjdzie do skutku.

Handlarz wciągnął głębiej na oczy swój zatłuszczony kapelusz i wstrząsając ramionami, miał zamiar opuścić sklep, lecz nagle jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do Dawideta.

— Czy nie mógłby mi pan dostarczyć pewnych kamieni? Polecił mi jeden z moich najlepszych odbiorców z Orleanu, abym mu ich dostarczył jak najwięcej.

— Jakież to kamienie? – spytał Dawidet.

— Chwilkę cierpliwości, zaraz pokażę — odparł stary.

Długo szukał w swej głębokiej, jak worek kieszeni, zanim wydobył swą brudną, kraciastą chustkę do nosa, na której były ślady jakiegoś desenin.

Położył chustkę, która była skręcona w tłumoczek na stole i zaczął ją rozwiązywać swymi drżącymi palcami. Następnie rozpostarł ją i pokazał kilka malutkich szlifowanych rubinów, które leżały na chustce, jak lśniące ziarnka piasku.

Wziął jeden z kamyczków i pokazał Dawidetowi:

— Potrzebowałbym ich kilka setek — wyjaśnił. — Mój gość potrzebuje ich do przystrojenia ołtarza, a ja nie mogę mu sam tego towaru podostatkiem dostarczyć. Muszę gdzieś nabyć takich

kamieni, bo ewentualnie mógłbym na nich trochę zarobić.

Jubiler oglądnął kamień i potrząsł przecząco głową:

— To jest prawie proch, podobnie małych nie mam, cośkolwiek większe, to prędzej.

— Byleby tylko nie zaduże.

Dawidet otworzył drzwi jakiejś starej połamanej szafy na pieniądze, która stała w kącie sklepu. Z głębi tego schowku, który nawet niewprawny włamywacz z łatwością by otworzył, wyjął tekturowe pudełko. Zamknął szafę i wrócił do lady.

Otworzył pudełko i wyjął z niego cztery rubiny, wielkości małego grochu.

— Mam tylko takie i mógłbym ich w razie potrzeby więcej dostarczyć.

Kamienie spodobały się handlarzowi i zbadawszy je, spytał:

— Ile mógłbym ich dostać w ogólności?

— Człowiek, który mi je przyniósł, powiedział, że ma jeszcze około sześćdziesiąt sztuk!

Liczba pokaźna tak zadziwiła kupującego, że nie mógł powstrzymać swych oznak zadowolenia.

Jubiler wzrokiem znawcy dostrzegł to natychmiast i odpowiednio do tego, nie czekając na pytanie kupującego, rzekł:

— Sztuka kosztuje dwanaście franków.

— Dwanaście franków, to dla mnie za drogo — rzekł handlarz. — Ale panu coś zaproponuję, wskaż mi pan tego człowieka, a ja od niego kupię cały zapas; za pośrednictwo zapłacę panu dobrze.

— Takich interesów nie robię — odparł Dawidet — po drugie nie wymieniam nigdy źródeł. O ile pan chce nabyć te kamienie, to tylko przezemnie.

Handel rozpoczął się na nowo.

Wkońcu widząc, że jubiler nie opuści ani halerza, wyciągnął z kieszeni wyszarzałą lnianą sakiewkę i ciężko wzdychając, odliczył z niej żądane franki. Powoli i kilkakrotnie je przeliczając, położył na stole.

Następnie wziął kamienie i zawiązał je do swej brudnej chustki razem z innymi i schował do kieszeni.

— A kiedy mogę mieć resztę? — zapytał.

— Jak sądzę, z początkiem przyszłego tygodnia — odparł Dawidet.

— Nie będzie mnie już w Marsylii — oświadczył handlarz — w niedzielę udaję się na jarmark do Awinionu i przez czternaście dni będę obchodził okolicę. Ale coś panu powiem. Jak pan będzie miał kamienie, to proszę mi napisać do Awinionu. Wtedy przybędę i interes nasz dobijemy.

Adres mój: Juliusz Sarrien, hotel Mistral, Awinion. Zawsze tam przebywam. Gdy powrócę, zniży pan prawdopodobnie ceny.

Dawidet zanotował sobie wszystko, a nadzieja dobrego zysku uczyniła go grzeczniejszym dla gościa, gdyż odprowadził go aż do drzwi, czego nigdy dotąd nie czynił z zasady.

Handlarz wyszedł na ulicę.

Schylony, wolnym krokiem skierował się do głównej ulicy, gdzie zwrócił się na zakręcie.

Pewność, że go dłużej stary Dawidet nie obserwuje swym bystrym wzrokiem, zdawała mu wracać swobodę,

Krok jego stał się pewnym, postawa elastyczniejszą, całe jego zachowanie było w sprzeczności z postawą i wyglądem starca.

Prędko przeszedł ulicę i udał się na dworzec kolejowy.

Jego pośpiech wskazywał, że chce zdążyć do pewnego pociągu.

Zaledwie osiągnął cel swojej drogi, dworzec, zwolnił kroku i wszedł do poczekalni, oglądając się na wszystkie strony.

Młody człowiek, porządnie ubrany, który oparty o słup zdawał się na kogoś oczekiwać, opuścił swoje miejsce i zbliżył się do handlarza.

Obaj mężczyźni pozdrowili się po cichu, a młodszy zwrócił swój ciekawy wzrok na twarzysza.

— Uznaję twą ciekawość za usprawiedliwioną, Harry! — rzekł tenże z uśmiechem.

— Odkryłeś co mistrzu? — zapytał drugi.

— Drobnostkę — mruknął stary. — Znalazłem miejsce, gdzie morderca chciał spieniężyć część swego łupu.

Dobry początek! I jego samego będziemy mieli Harry, w krótkim przeciągu czasu.

ROZDZIAŁ IV.

Na jarmarku w Awinionie.

Niedziela tygodnia, w którym rozpoczął się jarmark, była punktem kulminacyjnym ludowych uroczystości. Wśród mieszkańców miasta odróżnić można było zwiedzających, którzy po świątecznemu

ubrani, w wielkich gromadach chodzili między budami i kramami na placu „Grand“.

Place „Grand“ w południowej Francyi odpowiadają niemieckim placom targowym, tylko że co do rozmiarów są większe od nich.

Dzięki klimatowi ciepłemu i żywemu temperamentowi Francuzów, wszelka zabawa odbywa się nie w domu lecz na wolnem powietrzu.

Każde ważniejsze zdarzenie ma miejsce na placach, nie w domach lub jakichś salach.

Na zabawy tłumne i wesołe mieszkańców w okolicy Prowansalii nie wystarczałyby rozmiary niemieckiego placu.

Wesołość tłumu potrzebuje tutaj szerokiego miejsca do zabawy i dlatego nieraz w bardzo małych miasteczkach są wielkie place, graniczące na południowym końcu z kościołem, a na przeciwnym z ratuszem czyli merostwem.

Po przeciwległych stronach znajdują się odpowiednio do przeznaczenia placów, domy zajezdne szynki i małe hotele.

Awinioński plac „Grand“ wydawał się dziś za mały, aby objąć wszystkich zwiedzających.

Między porozrzucanymi kramami, karuzelami strzelnicami i teatrami rozmaitości, chodzili ludzie, podziwiając te piękności, które raz do roku było im dane do widzenia; przesuwali się od jednej budy do drugiej, wabieni jużto wołającym atletą, zachęcającym do przypatrzenia się zapasom najsilniejszych ludzi na świecie, jużto piskliwym głosem kobiety zapraszającej z całych sił do podziwiania obrazów w kinematografie.

Buda przedstawiała się wcale okazale. A to, co zawierał namiot, było senzacyą miasta Awinionu i mieszkańców okolicznych.

— Bratobójstwo w Awinionie! — krzyczała swym skrzeczącym głosem kobieta. — Straszna zbrodnia w Dyablej dziurze! Najnowszy Kain!

Straszne obrazy, porozlepiane na namiocie, popierały w korzystny sposób nawoływania kobiety i wywierały pożądany efekt na tłumie.

Na jednym obrazie starał się malarz nadać mordercy wygląd barona de Chavresaca, który ze sztyletem w ręku wypada na swą ofiarę, przejeżdżającą w automobilu.

Po drugiej stronie wchodu był obraz przedstawiający, jak morderca wtrąca w przepaść automobil wraz z ofiarą i szyderczo się przytem uśmiecha.

Te obrazy stanowiły siłę atrakcyjną kinematografu.

W budzie siedział śpiewak, który po każdej zwrotce prześpiewanej, demonstrował pojedyncze szczegóły z życia mordercy, jego zbrodnię i pokutę.

Zarówno fantazya malarza jak i poety przeszły wszelkie granice. Całe przeszłe życie barona było jednem pasmem podłości, a ponieważ skazanie na galery nie odpowiadało tłumom, więc malarz pozwolił sobie skazać go na śmierć przez gilotynę, a poeta odpowiednio do tego ułożył ostatnią zwrotkę.

Naprzeciw tak zajmującego namiotu, rozbił swój kram wędrujący handlarz. Był to stary Sarrien, którego poznaliśmy u Dawideta.

Dziwnem wydawało się, że stary tu rozbił swój kram, podczas gdy wszystkie inne znajdowały się po przeciwnej stronie.

Ale ponieważ było dużo konkurentów, więc chytry Sarrien przeniósł swój kram, aby uniknąć konkurencyi. Na przodzie jego wózka, na którym były tanie ozdoby, świecidełka, książki, okulary i różne inne przedmioty, były przybite ogłoszenia, reklamujące dobroć towarów i taniość.

W górze był wywieszony szyld:

„J. Sarrien, jubiler, kupuje i sprzedaje złote wyroby i ozdobne przedmioty i w. i.“

Uważny widz mógłby zauważeć, że jarmarczny jubiler nie bardzo uważnie zajmuje się swoim kramem, lecz ze swego stołka przypatruje się tłumom przed budą, pokazującą morderstwo.

Przeglądał wszystkich ludzi z osobna, o ile to oczywiście było możliwem przy takim natłoku, a chociaż miał amatorów do kupna, to i tak nie odwracał uwagi od namiotu.

Wtem przybliżyła się do namiotu para małżeńska, która od dłuższego już czasu przysłuchiwała się nawoływaniu kobiety. Mężczyzna koło pięćdziesiątki miał ochotę rozmówić się z jubilerem, gdy nagle zapytał go ktoś z boku:

— Ojcze Leblanc, cóż to, opuściliście dzisiaj waszą oberżę?

Przy usłyszeniu nazwiska Leblanc, Sarrien przestał obserwować namiot kinematograficzny.

Porządkował pilnie swój kram, tylko z pod szerokiego rona kapelusza patrzył pilnie na ruchy i rozmowę małżeńskiej pary.

Leblanc niemile dotknięty tem, że mu przeszkodzono, wyjął rękę z kieszeni, z której miał jakby zamiar coś wyciągnąć i podał ją pytającemu na przywitanie.

— Nie, Macieju — odpowiedział — zostawiliśmy w oberży naszego parobka, a wieczorem, kiedy goście zaczną się schodzić, będziemy już z powrotem.

— Teraz niema w oberży nikogo? — wypytywał dalej Maciej.

— Nie — westchnęła pani Leblanc — oberża jest pustą. Wszystko jedzie do Awinionu na jarmark.

— Teraz możemy przynajmniej spokojnie odpocząć i wyciągnąć nasze spracowane kości — dodał ze swej strony Leblanc. — Od wczoraj jesteśmy w mieście i dzisiaj wracamy; nasz parobek dostanie po naszym powrocie dwa dni urlopu, aby też się zabawił na kiermaszu.

Jeszcze chwilę rozmawiali ze sobą o obojętnych rzeczach, aż się wreszcie natręt pożegał. Chodzili tam i z powrotem koło kramu, nie mogąc się zdobyć na odwagę i przystąpić do Sarriena.

Wkońcu podeszli do kramu. Stary Sarrien zdawał się nie zwracać na nich uwagi, gdyż był zajęty właśnie drugim gościem. Po odprawieniu tegoż, zapytał dopiero Leblanca, czego sobie życzy.

Leblanc wyciągnął z kieszeni mały pakuneczek, wyjął z niego rubin i podał Sarrienowi z zapytaniem:

— Ile może być wart ten kamień?

Stary obejrzał uważnie rubin, przytem zmierzył oczyma sprzedającego i spytał go, za jaką cenę byłby gotów kamień sprzedać.

— Za dziesięć franków — brzmiała odpowiedź.

— Po pierwsze cena jest za wysoką dla mnie — odpowiedział spokojnie Sarrien — po drugie, jeden taki kamień nie ma dla mnie wartości, gdyż nie opłaci się go oprawiać i czekać na kupca, Bóg wie dokąd. Gdyby była większa ilość, to prędzej!

— Jeśli o to idzie, to mam ich koło sześćdziesięciu, ale czy wszystkie jednakowej wielkości, tego nie wiem, choć mam je już oddawna! — rzekł Leblanc.

— W jaki sposób nabyłeś pan tyle kamieni? — spytał napozór obojętnie Sarrien.

— Mam gospodę, w której czasem mieszkają handlarze podróżujący. Jak interesa źle idą, to utrzymuję ich dłuższy czas, a oni nie mając gotówki zostawiają mi swój towar, jako zastaw na pokrycie należytości. Po największej części więcej go nie wykupują i tak stają się one moją własnością.

Moja żona nie kocha się w ozdobach, córek nie mam, przeto mam zamiar spieniężyć część tych martwych skarbów.

— Odsprzeda mi pan te kamienie? — zapytał znów Sarrien.

— Jeśli jutro pan tu będzie, to je przyniosę, ale za sześćset franków, mniej nie — odrzekł prędko gospodarz, ucieszony nadzieją uzyskania takiej sumy pieniędzy.

— Powiedzmy pięćset, w przeciwnym bowiem razie musiałby pan szukać innego kupca, coby panu przyszło z trudnością. Dla mnie one więcej nie wartają.

Małżonka przysłuchiwała się całej rozmowie i nie mieszała się do niej. Kiedy usłyszała o cenie ofiarowanej przez Sarriena, trąciła nieznacznie łokciem męża, jakby chcąc mu powiedzieć:

— Sprzedaj już raz to, abyśmy się pozbyli kłopotu.

Staremu Sarrienowi, który niby układał przedmioty na swym kramie nie uszedł ten ruch uwagi i uśmiech nieznaczny zadowolenia przebiegł mu po twarzy.

Leblanc wahał się przez chwilę, nareszcie po namyśle obiecał przyjść za kilka dni do jubilera.

Wziął pod ramię swą połowicę i wkrótce zginął w jarmarcznym tłumie.

Jubiler stracił już wszelką ochotę do dalszej sprzedaży. Prędko pozbierał swoje przedmioty z kramu, pozdejmował szyldy, nakrył ceratą i chwyciwszy za dyszel od wózka, pociągnął cały kram w kierunku hotelu Mistral. Tutaj umieścił go w szopie, sam zaś następnie udał się do pokoju gościnnego.

Pokój był pusty, gdyż wszystko było na jarmarku; przy jednym tylko stole siedział młody mężczyzna, patrząc w stojące przed nim wino.

Kramarz przepatrzył uważnie pokój i nie zauważywszy nic podejrzanego, zbliżył się do siedzącego i szepnął cicho:

— Harry!

Następnie wyszedł ze sali.

Kobieta siedząca za ladą, nie mogła tej sceny zupełnie zauważyć.

W ten sposób zagadnięty przez Sarriena spojrzał nieznacznie na staruszka. Skoro tylko ten wyszedł, opuścił samotny, młody gość również restauracyę.

Stary czekał w sieni i w cieniu tejże przystąpił do Harrego.

— Wiedziałem, że dziś przybędziesz — przemówił cicho po angielsku, na co otrzymał odpowiedź w tym samym języku:

— Nie poznałbym cię, mistrzu! Masz już jaki trop?

— Jestem już na piętach sprawcy — rzekł, a oglądnąwszy się na wszystkie strony, czy kto nie podsłuchuje, dodał;

— Zostań tutaj Harry, ja zaraz powrócę.

Wkrótce potem opuścił stary Sarrien, w którym czytelnicy domyślili się zapewne Szerloka Holmesa, „Hotel Mistral".

Harry pozostał w hotelu sam.

ROZDZIAŁ V.

Odwiedziny w więzieniu.

Do celi sądowej, w której siedział baron de Chavresac, nie dochodził żaden hałas jarmarku.

Więzień rozpoczął niedzielę w najlepszem usposobieniu, gdyż wyrok sądowy został zniesiony, a sprawa cała przekazana sądowi przysięgłych w Marsylii.

Obrońca Lagasse przedpołudniem doniósł tę wesołą nowinę swemu klientowi, jednak zadziwiło go to dosyć, że ten przyjął wiadomość zupełnie obojętnie.

Człowiek, który walczył o swoje życie i honor, nie wierzył w sprawiedliwość ławy przysięgłych w Marsylii, on ufał tylko Holmesowi; był przekonany, że on go jedynie może uwolnić od zarzutów, a wykryć właściwych sprawców.

Adwokat, nie mając przez dłuższy czas żadnej wiadomości od detektywa, nie liczył zupełnie na jego pomoc. Kilkakrotne bowiem jego zapytania i telegramy do Londynu wysłane, pozostały bez odpowiedzi. Starał się pocieszyć barona i wpoić w niego nadzieję rychłej wolności, jednak bezskutecznie. Zły powrócił adwokat do domu, zakłopotany, jaki obrót weźmie sprawa barona Chavresaca.

Wróciwszy do mieszkania, miał zamiar jeszcze raz przestudyować cały materyał śledczy i procesowy. Zabrał się do tego, jednak musiał wkrótce przerwać, gdyż wszedł służący.

Zawiadomił go, że jakiś pan chce się koniecznie z nim widzieć i pod żadnym warunkiem nie myśli odejść.

Adwokat wyprawił służącego z zakazem nie przeszkadzania sobie, oświadczając, że absolutnie nikogo nie przyjmie.

Jednak po chwili wszedł znowu służący, mówiąc, że stary mężczyzna twierdzi, że jak pan mecenas się dowie, o co idzie, będzie zadowolony i chętnie poświęci mu parę minut.

Ciekawość zwyciężyła u adwokata i kazał prosić nieznajomego.

Juliusz Sarrien, względnie Szerlok Holmes, wszedł do pokoju, a gdy się służący usunął, rzekł:

— Cieszy mnie bardzo, że mecenas mnie nie poznał w tem przebraniu. Nie chcę pana denerwować i odkryję incognito.

Przy tych słowach zdjął szpakowatą perukę z głowy i adwokat zobaczył przed sobą Szerloka.

— Więc to pan? — zawołał zdziwiony — byłem pewny, że pan zaniechał całej sprawy i o niej zapomniał.

— Gdybyś pan mnie znał, nie przypuszczałbyś pan czegoś podobnego. Tem mniej zaś mam zamiar uczynić to obecnie, kiedy wiem, kto zamordował brata barona.

Lagasse podskoczył do góry, jak podminowany.

— Wie pan nazwisko? Powiedz pan na Boga, czemprędzej!

— Nie tak prędko, panie mecenasie — odparł detektyw. — Że znam mordercę, to nie jest jeszcze wszystko. Muszę znaleźć dowody. Spodziewam się w kilku dniach mieć je w ręku, a wtedy zacznę działać. Przyszedłem tylko powiedzieć, że nasza sprawa dobrze stoi i proszę o tem donieść swemu klientowi.

Adwokat miał minę, jakby nie dowierzał Holmesowi.

Detektyw zaraz to poznał.

Wyjaśnił adwokatowi powód swego milczenia, tłómacząc, że to jest zwykły środek ostrożności.

Następnie począł wypytywać mecenasa o świadków w procesie, o różne inne szczegóły na samym końcu dopiero o Leblanców.

Co do nich wiedział adwokat mniej jeszcze niż Holmes.

Dlatego ze skwaszoną trochę miną, wdziawszy perukę starego Sarriena, opuścił mistrz mieszkanie mecenasa, rozważając głęboko wszystkie szczegóły zebrane przez siebie w ciągu dotychczasowego śledztwa.

ROZDZIAŁ VI.

W oberży Leblanców.

Dwa dni upłynęło od pobytu Leblanców w Awinionie.

Parobek dostał urlop, więc w oberży byli sami tylko właściciele.

Nie mieli wiele do roboty, gdyż jeszcze jarmark się nie skończył, gości żadnych nie było. Wszyscy szli do miasta.

Gospodarz siedział przed zajazdem, podczas gdy jego małżonka gotowała dla nich obojga kolacyę.

Leblanc już miał, będąc posłuszny wezwaniu żony, udać się na wieczerzę, gdy na zakręcie drogi dostrzegł Sarriena, pchającego przed sobą wózek.

Stary miał zamiar przejechać mimo karczmy kiedy na niego zawołał oberżysta, który poznał w kramarzu handlarza, któremu obiecał sprzedać kamienie na jarmarku.

— Cóż to nie poznaje mnie pan? — zapytał zdziwionego kramarza. — Ostatniej niedzieli omawiałem z panem pewien interes. Chciałem właśnie jutro przyjść do pana i dobić targu. Czemuż tak prędko opuszcza pan jarmark?

Kramarz ciężko westchnął.

— Kiepski interes — odparł. — Tylu konkurentów, że postanowiłem zwinąć budę i udać się do odległych wsi i tam sprzedać swój towar.

— A cóż będzie z naszym interesem? — zapytał Leblanc.

Kramarz zdawał się być niezdecydowany.

— Przy takich kiepskich targach, boję się wyłożyć na raz tyle pieniędzy na kamienie.

— Przecież masz pan odbiorcę, jak powiedziałeś! — mruknął niechętnie gospodarz.

— Zresztą namyślę się — odpowiedział wahająco kramarz — pokaż mi pan kamienie, niech im się dobrze przypatrzę.

Leblanc zgodził się na to.

— Możesz pan u nas zanocować — zaproponował — załatwimy spokojnie interes, a rano pociągnie pan w swoją stronę.

Kramarz nie sprzeciwiał się. Wózek zaciągnięto do szopy, następnie obaj weszli do gospody.

Parter karczmy stanowił duży pokój. Stąd prowadziły strome schody na pierwsze piętro, zaś poza schodami znaldowało się wejście do piwnicy.

W jednym rogu stał komin, na którem tlił się mały ogień. Obok było wielkie wiadro wody, które zdawało się być stale połączone z ziemią. Stół i stołki były zesunięte, a na stole przy oknie zastawiona co dopiero wieczerza.

Gospodarz poprosił gościa do spożycia wieczerzy.

Holmes przyjmując zaproszenie, zasiadł do stołu, obserwując podczas kolacyi skład całego mieszkania. Wszystko po kolei poddał badaniu swego bystrego wzroku, ale nie mógł zauważyć nic takiego, coby go naprowadziło na jakikolwiek ślad. Naraz zauważył zagięcie na rogu stołu.

Usiadł sobie w ten sposób, aby wgłębienie mieć ciągle pod ręką. Wyglądało ono tak, jakby ktoś rzucił siłą żelazny przedmiot o stół tak, że róg wbił się do drzewa.

W chwilę później spostrzegł na podłodze jakiś błyszczący przedmiot wielkości guzika.

Umyślnie upuścił nóż na ziemię, którym miał krajać chleb i schylił się pod stół, aby go podnieść.

Podczas gdy lewą szukał noża, który potoczył się dalej pod stół, prawą ręką chwycił błyszczący przedmiot.

Ten jednak tkwił głęboko i silnie w ziemi; musiał się prawdopodobnie długo tu znajdować. Wydrapał go paznogciem z podłogi i jakby nic nie zaszło, podniósł nóż ze ziemi.

Zabrał się potem do jedzenia, które mu widocznie bardzo smakowało.

Wieczerzę skończono, gospodyni pozbierała naczynie.

Leblanc odezwał się po chwili:

— Teraz pokażę panu kamienie!

Domniemany handlarz skinął głową na znak zgody i obrócił się do zgiętej przy ogniu gospodyni, dziękując za kolacyę.

W rzeczywistości zaś śledził oczami Leblanca, który prawdopodobnie zszedł do piwnicy, bo słychać było chód na schodach.

Tam zatem były ukryte kosztowności.

Holmes zadowolony, przysiadł się następnie do gospodarza, który już powrócił i wyjął płócienny worek, wysypując kamienie na stół.

Rzekomy Sarrien grzebał wśród kamieni chciwemi palcami, wziął kilka z nich, przyjrzał im się pod światło i zbadawszy je, położył na stole.

Nie miał najmniejszej wątpliwości, że one należały do kosztowności, zrabowanych baronowi.

Namyślał się właśnie, w jaki sposób mógłby osiągnąć pewność tego, kiedy mu gospodarz przyszedł sam z pomocą.

– O ile pogodzimy się co do rubinów, to możemy jeszcze o innych ładnych interesach ze sobą pomówić. Mam także trochę kosztowności, które chciałbym sprzedać.

Targ rozpoczął się.

Holmes wierny swej roli, zarzucał, że kamienie nie mają wielkiej wartości i chciał obniżyć cenię.

Gospodarz oponował, jak mógł, w końcu zgodził się na cenę. Kamienie przeszły do handlarza za czterysta franków.

Holmes odwiązał woreczek, którym był wpół przepasany, wyjął z niego cztery banknoty i dał je gospodarzowi Następnie zawinął również kamienie do zawiniątka i niem się przewiązał.

— Już jest zapóźno, abym udał się w dalszą drogę, muszę tu przenocować — odezwał się kramarz.

Po dziesiątej udali się wszyscy na spoczynek.

ROZDZIAŁ VII.

Napad.

Szerlok Holmes udał się do przeznaczonego mu pokoju. Tu przyszedłszy, zasunął rygle. Musiał zabezpieczyć się przed zakłóceniem mu spokoju, podczas badania kamieni.

Na rubinach nie można było nic odkryć, jak tylko to, że świeżo wyrwano je z oprawy. O wiele więcej zainteresował go przedmiot, który wygrzebał z podłogi paznogciem. Była to wązka płytka metalowa, pokryta gliną. Starłszy starannie powłokę, zauważył, że z jednej strony błyszczała, jak złoto, z drugiej zaś, pomimo wszelkich wysiłków z jego strony była zczerniała i nie dała się odczyścić.

Detektyw dorozumiał się pochodzenia przedmiotu. Musiała to być jedna ze sztabek, pokrywających szkatułkę z klejnotami.

Znał robotę japońską i bez trudności domyślił się operacyi, która odbyła się ze szkatułką. Morderca musiał kasetkę, której mechanizmu nie znał i nie mógł otworzyć, uderzyć o stół. Stąd powstało uszkodzenie na rogu stołu, które zauważył.

Przy takiem uderzeniu odleciała część sztabek. Detektyw był przekonany, że przy skrzętnem szukaniu, znalazłby więcej takich sztabek. Byłoby to na razie niepotrzebne, gdyż to, co miał w ręku, wystarczało w zupełności jako dowód, że tak się miała rzecz, a nie inaczej.

Zadowolony ze swoich wyników schował do kieszeni kamienie. Następnie skontrolował latarkę elektryczną i rewolwer i otworzył cicho zaryglowane drzwi, zgasiwszy poprzednio światło.

Siedząc na stołku oczekiwał, kiedy małżeństwo uda się na spoczynek. Wkrótce dosłyszał kroki i zamykanie drzwi, a po kwandransie w całym domu zapanowała cisza, niczem niezmącona.

Przeczekał jeszcze trzy godziny i dopiero wtedy otworzył bez szmeru drzwi. Poświecił sobie latarką, aby zoryentować się lepiej.

Cicho, jak kot, czołgał się do drzwi piwnicznych. Były zamknięte.

Odśróbował zawiasy i przez wązkie przejście znalazł się na schodach, prowadzących do piwnicy.

Latarnia zabłysnęła i całe jej wnętrze zostało jasno oświetlone.

Piwnica pierwotnie była widocznie przeznaczona na skład wina i materyału opałowego. Stały tutaj flaszki z wina i próżne beczki, piła do rznięcia drzewa, jak i kloce porąbane, ustawione obok ścian pokrytych pleśnią.

Holmes oglądał się na wszystkie strony. Na przeszukanie całej piwnicy nie miał czasu. Musiał ograniczać się do wyszukania miejsca, gdzie prawdopodobnie były ukryte zrabowane przedmioty.

Schodził powoli po schodach. Przy ostatnim stopniu przykuła jego uwagę gęsta pajęczyna przy ścianie, z prawej strony przerwana.

Uśmiechnął się z zadowoleniem przy tem odkryciu. Kryjówka mordercy była odszukana.

Schylił się i włożył prawą rękę do otworu.

Mur, który przytykał do schodów był wydrążony, szukając ręką namacał, jakby pudełko z cygar. Obok leżał jakiś gładki przedmiot.

Holmes wyciągnął go i przy latarce poznał portfel z czerwonego safianu, który zgadzał się z tym, jaki nosił zamordowany baron de Chavresac.

Na skórze był wyciśnięty herb Chavresaców, z trzema głowami jastrzębia i napisem: „Zawsze ten sam“.

Szerlok Holmes otworzył portfel. Leżały w nim jeszcze nienaruszone tysiącfrankówki, w drugiej

połowie karty wizytowe barona. Holmes schował ten cenny łup do swojej kieszeni. Następnie wyciągnął pudełko z otworu. Postawił je na schodach i uchylił ostrożnie.

Zawierało ono, jak przypuszczał, kosztowności wdowy. Na wierzchu leżała perłowa kolia jeszcze cała. Krzyżyk z rubinami był uszkodzony. Małe kamyczki były wyrwane jakimś tępym narzędziem, tylko w środku tkwił jeszcze brylant pierwszej jakości.

Detektyw znał dokładnie opis kosztowności i stwierdził, że znajdują się jeszcze wszystkie. Zapinka brylantowa do włosów, dyadem, kolczyki cennej roboty, wszystko było w całości, a rubiny miał w swojej kieszeni.

Holmes owinął to wszystko chustką i ukrył w swojej kieszeni. Próżne pudełko schował nazad do otworu i zadowolony ze swej nocnej wycieczki zamierzał powrócić do swego pokoju.

Ostrożnie wydostał się przez wązkie przejście i chciał napowrót osadzić drzwi na zawiasach. Starał się jak najmniej pozostawić po sobie śladów, aby później nie odkryto jego kroków.

Zadowolenie, że udała mu się sprawa, napełniło go taką pewnością, że zapomniał o zwykłej ostrożności.

Na zajętego robotą ktoś nagle napadł z tyłu. Silne ramiona objęły go wpół i skrzeczący głos zabrzmiał mu w uszach:

— Łajdak okrada nas!

Jeden ruch napadniętego i napastnik znalazł się po drugiej stronie pokoju, drżący i skulony przed rewolwerem Holmesa.

Napastnikiem była gospodyni, Leblancowa.

— Ani słowa — mruknął przez zęby, bo inaczej załatwię się zaraz z wami. Teraz wiem, kto zamordował barona de Chavresac!

Holmes chciał dalej mówić. Przejęty swem powodzeniem, nie zauważył, że placy miał zwrócone na schody pierwszego piętra, gdzie była sypialnia małżonków.

Gdy właśnie wymawiał te słowa mając broń zwróconą ku leżącej na ziemi gospodyni, poczuł że go ktoś objął wpół, obecnie daleko silniej.

Równocześnie usłyszał głos:

— Wybiła już twa ostatnia godzina, szpiegu!

Rozpoczęła się walka na śmierć i życie.

Z siłą, jaką tylko może dać rozpacz, starał się Holmes uwolnić z uścisku, jednak napróżno. Jakby żelazne klamry, trzymały go ręce Leblanca.

Żona, widząc Holmesa ubezwładnionego w rękach męża, podniosła się i na jego rozkaz, wyrwała rewolwer z ręki Holmesa, który czuł, że siły go opuszczają.

Szerlok zaczął liczyć się z możliwością, że musi ponieść śmierć w oberży i że naturalną drogą nie uda mu się ujść z życiem.

Tylko podstęp mógł go ocalić, na razie nie widział jednak sposobu.

Leblanc rozkazał żonie przynieść sznury. Spełniła natychmiast rozkaz i według wskazówek męża związała Holmesa. Detektyw widząc bezskuteczność swoich wysiłków, zaprzestał się bronić i postanozaoszczędzić sił na później.

Po chwili uczuł Holmes, że go podniesono w górę. Gospodarz bawił się nim, jak piłką. Położył detektywa na ziemi i powoli otaczał sznurem całe ciało.

Wkrótce Holmes był spowity, jak małe dziecko. Nie upłynęło dziesięciu minut, a Holmes leżał na ziemi, nie mogąc poruszać ani ręką ani nogą.

Uczciwa para małżeńska odpoczywała. Przedtem w strachu śmiertelnym mieli jakąś nadludzką siłę, która pozwoliła im niebezpiecznego dla nich detektywa ubezwładnić. Obecnie, gdy obawa zniknęła, nastąpiło u nich wyczerpanie.

— Teraz musisz mu odebrać, co nam ukradł— rzekła żona do Leblanca i wziąwszy lampę ze schodów, gdzie ją zostawił Leblanc, zanim rzucił się na Holmesa, postawiła na stole.

Leblanc patrzył na związanego, sapiąc jeszcze ze zmęczenia. Miał do czynienia ze silnym przeciwnikiem i musiał użyć wszystkich sił, zanim go zdołał ubezwładnić.

— Trzeba go zabić — rzekł — łajdak zna naszą tajemnicę.

Holmesowi zrobiło się gorąco. Jeden tylko człowiek wiedział o pobycie jego w oberży, a tym był Harry, będący teraz w hotelu Mistral. On jedynie wiedział o jego podejrzeniach przeciw Leblancowi i o śladach, za którymi szedł Holmes, ale chyba przypadek mógłby go tu sprowadzić.

Przy tem wszystkiem to go wyłącznie pocieszało, że Harry pomści jego śmierć i równocześnie wykaże niewinność barona de Chavresaca.

Nadzieja uratowania się z niebezpiecznej sytuacyi była małą.

Holmes nie należał jednak do tych, co się dadzą odstraszać lada drobnostką. Kilkanaście już

razy widział śmierć tuż przed oczami, a pomimo to zawsze udawało mu się jej uniknąć. Spróbował rozluźnić trochę swoje więzy, lecz te nie popuściły ani na cal nawet. Była to okoliczność nader niekorzystna dla detektywa.

Wzrok jego był zwrócony na parę małżeńską, która stała od niego kilka kroków.

Naradzali się oni nad rodzajem śmierci, jaki mają zadać skrępowanemu, a ponieważ nie obawiali się, aby im stary Sarrien pokrzyżował plany, rozmawiali głośno.

Czynili to nawet celowo, aby zadawać w ten sposób katusze moralne swej ofierze.

— Najlepiej będzie poderżnąć mu gardło i wrzucić do djablej dziury — rzekł gospodarz.

— Byłyby nowe dochodzenia i świeży kłopot— odrzekła zacna połowica.

— Najlepiej będzie spalić tę budę. Weź policę od ognia do kieszeni, a następnie podpalimy oberżę. Zanim kto pospieszy na ratunek, będzie z niego i z karczmy kupa popiołu.

Nie czekając odpowiedzi, podeszła Leblancowa do związanego i odcięła mu jego pas z pieniądzmi oraz wypróżniła kieszenie.

Holmes nie mógł się oprzeć temu rabunkowi, leżał bowiem na ziemi bezwładny i bezsilny. Cieszyła go chociaż ta okoliczność, że megera nie zauważyła drugiego rewolweru, który miał w bocznej kieszeni.

Leblanc przypatrywał się czynnościom żony obojętnie. Po chwili pobiegł na górę i powrócił dopiero po kilku minutach. Na ustach igrał mu uśmiech zadowolenia.

— Masz wszystko? — spytała żona, która widocznie grała pierwsze skrzypce w domu i trzymała małżonka pod pantoflem.

— Tak, wziąłem policę i pieniądze.

— Bierz i to, co znalazłam przy tym gałganie — rzekła Leblancowa, podając mężowi pieniądze znalezione przy Szerloku.

Następnie zakręciła się koło spiżarni i przyniosła stamtąd blaszankę z naftą.

Holmes namyślał się, czyby nie wdać się w pertraktacye z Leblancami, jednak będąc pewnym, że to do niczego nie doprowadzi, zaniechał pierwotnego planu. Owszem, jakby chcąc małżeństwo jeszcze więcej podrażnić, odezwał się szyderczo:

— Bando morderców! Łotry!

Baba przypatrzyła mu się wzrokiem zgłodniałego wilka, jakby go chciała zjeść.

Po chwili zaczęła polewać go naftą. Holmes posuwał się o ile tylko mógł na bok, jakby unikał nafty i w ten sposób przybliżył się do kadzi z wodą, stojącej obok pieca.

Megera ze wściekłością wylewała na jego odzież naftę, póki nie przemoczyła go zupełnie. Następnie polała stoły i stołki, podłogę, a resztą obryzgała ściany. Umyła sobie potem ręce z nafty, aby jej nie śmierdziały, zawiązała sobie chustkę na głowie i wyszła za mężem za próg oberży.

Od progu rzuciła paczkę zapalonych zapałek, a drzwi zamknęła na klucz. Wszędzie gdzie spadły rozpalone zapałki na ziemię, powstały małe ogniki, które się stopniowo powiększały, aż utworzyły wkońcu wielkie morze płomieni, oświetlające krwawo cały pokój.

Holmes czuł zbliżającą się śmierć.

Na podłodze zbliżał się ogień coraz bardziej do Holmesa, który z trudnością starał się wyprostować. Oparł się plecami o kadź i powoli podnosił do góry. Zaledwie mógł utrzymać równowagę na nogach, tak był silnie skrępowany. Znalazłszy oparcie na beczce, patrzył z przerażeniem na płomienie, które sięgały już prawie jego nóg i lada chwila mogły objąć jego naftą przesycone ubranie.

Nadludzką siłą podniósł się jak mógł najwyżej do góry, przechylił się przez wiadro i znalazł się w kadzi, w której woda przykryła go zupełnie.

Parskając usiłował wychylić się detektyw ze zbawczej wody, co mimo więzów po kilkunastu sekundach zdołał uczynić. Z włosów i brody spływała mu woda. Z zadowoleniem patrzył na coraz bardziej wzrastające morze ogniowe, którego bodaj na chwilę uniknąć potrafił.

W obszernej kadzi, napełnionej wodą, mógł łatwo się poruszać, a ogień, który groził mu jeszcze krótko przedtem zgubą, miał teraz okazać się zbawcą i uwolnić z krępujących go więzów.

Przechylił się na bok poza brzeg wiadra, udało mu się prawe ramię ściśnięte sznurem przysunąć do ognia. Płomienie przepalały nietylko sznur, ale parzyły i skórę. Jednak małe poparzenie ciała wobec uratowanego życia była drobnostką i ocalenie trzeba było opłacić jakąś ceną.

Ze stoicyzmem wytrzymał ból i wreszcie ku ogromnej swej radości spostrzegł, że sznur został przepalony.

Prędko zanurzył się w wodzie. Jeszcze zanim ogień rozpanoszył się w całej izbie, Holmes zdołał uwolnić się z więzów.

Woda w kadzi broniła go wprawdzie przed ogniem, ale gorąco stawało się prawie nie do wytrzymania.

Nie było czasu na wahanie, gdyż każda minuta mogła rozstrzygnąć o jego ocaleniu. Jedna chwila niezdecydowana, a mogło być zapóźno. Należało jak najprędzej wydobyć się z pośród morza płomieni i wydostać się z oberży na powietrze.

Rękami czerpiąc wodę, starał się ugasić języki ogniowe koło wiadra. Zlewając podłogę obficie stłumił na chwilę na małej przestrzeni płomienie.

Teraz trzeba było powziąć szybki plan, którędy wydobyć się z szynkowni, objętej ogniem.

Szerlok liczył się z tą możliwością, że przed oberżą czekała pewnie łotrowska para na wynik swego zbrodniczego dzieła.

Wpadł na myśl, czy nie byłoby najlepiej użyć drogi przez piwnicę, z małem okienkiem prowadzącem na podwórze.

Gdyby udało mu się dojść do piwnicy, będzie uratowany, gdyż tam nie mógł się wedrzeć ogień.

Ale przedtem należało sobie zrobić przejście do piwnicy. Woda czerpana rękami wydała się niewystarczającą; usiłowania, aby przewrócić wiadro, spełzły na niczem.

Wtem wzrok jego padł na kapelusz, mało uszkodzony dotąd ogniem, leżący na podłodze, podniósł go i użył jako naczynie do gaszenia. W kilka minut utorował sobie drogę do piwnicy.

Zanurzywszy się jeszcze raz w wodzie, by mokre ubranie było zabezpieczone od zajęcia się ogniem, jednym susem znalazł się w piwnicy. Schody zaczynały się już z lekka tlić, ale wnętrze piwnicy tonęło jeszcze w ciemności.

Detektyw przeskoczył stopnie i znalazł się w zimnym lochu.

Pierwszą jego czynnością było obejrzenie browninga, który uszedł przed wzrokiem rabującej go Leblancowej. Niestety woda zamoczyła naboje, tak że broń była nie do użycia. Z pewnym zawodem odrzucić ją musiał od siebie.

Obejrzał się teraz po lochu piwnicznym, czy nie znajdzie jakiegoś przedmiotu, który ewentualnie mógłby mu służyć za obronę w razie napadu z czyjejkolwiek strony.

W piwnicy oryentować się mógł łatwo. Przez otwarte drzwi piwniczne przeświecały krwawo języki ogniowe z sali szynkownianej, tak, że w piwnicy było zupełnie jasno.

Na starym drewnianym stole zauważył długi nóż. Z radością pochwycił go w ręce, bo była broń skuteczna przeciw każdemu napastnikowi.

Przysunął stół ku oknu. Drewnianą okiennicę oderwał, następnie zaczął powoli przesuwać się przez otwór na zewnątrz. Za chwilę znalazł się na wolnem powietrzu. Kilka sekund nadsłuchiwał pilnie, czy nie dojdzie go jaki podejrzany szmer. Nie zauważył nic takiego, coby zwróciło jego uwagę. Słychać było syczenie płomieni, które wydobywały się na zewnątrz budynku, trzask belek i płonących gontów. Dla zachowania wszelkiej ostrożności czołgał się po bruku podwórzowym jak wąż. Co chwilę rozglądał się przezornie na wszystkie strony. Na razie nie spostrzegł nikogo.

Dopiero gdy od płonącego domu oddalił się kilkanaście metrów i znalazł się poza ogrodzeniem otaczającem podwórze oberży, na szosie zobaczył Leblanca i jego żonę, którzy w pewnej odległości od karczmy siedzieli na murawie i przypatrywali się trawionemu przez ogień domostwu.

Holmes przypatrywał się im bacznie.

Niedługo potem widział, jak właściciel gospody odszedł parę kroków pod jedno z drzew stojących przy drodze i rękoma począł wykopywać dół w ziemi.

Detektyw z ciekawością przypatrywał się tej czynności. Zrozumiał zaraz zamiary Leblanca. Łotr starał się zrabowane klejnoty ukryć pod powierzchnią ziemi. Sądził, że tam będą one najbezpieczniejsze. Dla mistrza było to bardzo cenne odkrycie. Utracone chwilowo przedmioty mógł z łatwością odzyskać napowrót.

Z wielką ostrożnością pełzał wzdłuż parkanu i znikł w ciemnościach nocy.

W kilku minutach dotarł do lasu, który rozciągał się po obu stronach drogi, aż prawie do samego Awinionu.

ROZDZIAŁ VIII.

Harry na poszukiwaniu.

Harry Takson oczekiwał z wielką niecierpliwością na powrót swego mistrza Szerloka Holmesa. Miał jakieś niedobre przeczucie, które odbierało mu zwykły spokój. Postanowił natychmiast wybrać się na poszukiwanie nauczyciela.

Znał kierunek, w którym dążyły przypuszczenia wielkiego detektywa i wiedział, że szczegóły

śledztwa, zebranego przez mistrza, kierowały się jedynie i wyłącznie przeciw małżeństwu Leblancom Szerlok zwierzał mu się kilkakrotnie, że uważa Leblanców za sprawców zamordowania barona Chavresaca, a że aresztowany i skazany Paweł jest zdaniem jego zupełnie niewinny.

Zwykłemu kryminaliście byłoby wystarczało przeprowadzić konfrontacyę Leblanca z handlarzem starożytności, Dawidetem w Marsylii, u którego Szerlok Holmes odkrył najpierw podejrzane kamienie i w ten sposób zmusić sprawcę do przyznania się. Ale tak powierzchowne przeprowadzenie dochodzeń, uważał mistrz za niewystarczające.

Zanim występował z oskarżeniem, zanim podnosił przeciw komu głos obciążający, musiał posiadać niezbite dowody jego winy. Niejednokrotnie to, co innym wydawałoby się zwykłem podejrzeniem, dla niego stanowiło dowód niezbity. W innych wypadkach miała się rzecz wręcz odwrotnie.

Harry odwodził początkowo detektywa od jego zamiaru. Jego miłość i przywiązanie do mistrza napawały go obawą, aby ten nie narażał się niepotrzebnie na niebezpieczeństwa, a serce przepełnione miał głęboką troską.

Ale Holmes nie zważał na wszelkie prośby i tłómaczenia, na trwożliwe przestrogi ucznia i przyjaciela odpowiadał tylko śmiechem, a wreszcie zakazał mu stanowczo mieszać się w całą sprawę, oświadczając Harremu, że dalsze kroki śledcze będzie sam wyłącznie prowadził.

Jak powiedział, tak uczynił. Holmes wybrał się sam, aby wejść do jaskini lwa, a czytelnicy wiedzą już, jakie go tam przygody spotkały.

Harry po oddaleniu się Szerloka nie miał spokoju. Początkowo położył się na łóżku i próbował zasnąć. Nie mógł jednakże zmrużyć oczu.

Według umowy, miał na mistrza oczekiwać aż do południa dnia następnego.

Nie wytrzymał dłużej w wązkim łóżku małego, niewygodnego pokoju hotelowego, dręczył go jakiś nieokreślony lęk, z którego powodów nie mógł sobie nawet zdać sprawy, ponure myśli o zbliżającem się nieszczęściu nie opuszczały go ani na chwilę.

Wiedział dobrze, jak surowo i stanowczo zakazywał mu mistrz śledzić za sobą, ale niewyraźne i niezrozumiałe obawy i wewnętrzny niepokój przygniotły wreszcie wszystkie inne myśli.

Cóż bowiem za ujemne skutki byłyby z tego, gdyby pod osłoną nocy zbliżył się do oberży Leblanca i niespostrzeżenie starał się poinformować, czy nie zdarzyło się tam nic takiego, coby usprawiedliwiało jego obawy.

Co najmniej usunąłby swoje obawy, a że do niebezpiecznej i nieokreślonej czynności swego mistrza niczemby się nie wtrącił, ani pod żadnym względem jej nie sparaliżował, tyle zaufania we własne zdolności i zręczność mógł posiadać, nie będąc wcale zarozumiałym.

Wreszcie powziął nieodwołalny zamiar.

Ubrał się, zeszedł do podwórza domu gościnnego. Przypomniał sobie bowiem, że w ciągu dnia zauważył rower, stojący w szopie. Rzeczywiście bardzo prędko znalazł koło, w niezamkniętej szopie.

Ostrożnie wydobył rower z kąta i miał zamiar zbudzić stróża. Po namyśle odstąpił od swego zamiaru, nie chcąc narażać się na niepotrzebne pytania i badania, dokąd chce po nocy wyjeżdżać. Bał się zresztą, że rower jest własnością stróża. Tego wszystkiego chciał z ostrożności, w tym wypadku wskazanej, uniknąć.

Przeniósł więc rower do muru, otaczającego podwórze, wysokością nie przenoszącego wzrostu średniego mężczyzny, oparłszy rower o mur, sam go przesadził, a następnie przeniósł i koło na drugą stronę.

W jednej chwili wsiadł na siodło stalowego rumaka i popędził poza miasto na szosę, prowadzącą do oberży Leblanców.

Za chwilę miał Awinion za sobą. W ciemności mógł zaledwie odróżnić drogę, aby nie wpaść do rowu. Po obu stronach szosy rozciągały się gęste lasy.

Droga z miasta do domostwa Leblanców nie była niestety prostą linią, ale tworzyła znaczną krzywiznę, skierowaną dużym łukiem ku zachodowi.

Im więcej zbliżał się Harry do skrętu drogi, tem zdawało mu się coraz wyraźniej, że niebo w tem miejscu tworzyło znacznie jaśniejszą plamę. Początkowo nie umiał sobie tego wytłómaczyć.

Cała sytuacya wydawała mu się jeszcze więcej tajemniczą.

Dopiero gdy zbliżył się do punktu, w którym droga zakrzywiała się na zachód, znalazł rozwiązanie zagadki.

Przed nim w niewielkiej odległości płonęła karczma Leblanca, a płomienie, strzelające wysoko w górę i liżące już dach domu zajezdnego, rzucały krwawy refleks dokoła i powodowały czerwoną łunę na horyzoncie.

Szosa dokoła oberży oświetloną była, jak we dnie.

Bystrym oczom Harrego nie uszło dwoje ludzi, którzy po prawej stronie drogi, na kraju lasu, byli czemś silnie zajęci.

Zeskoczył z roweru i umieścił go w rowie przydrożnym. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że sytuacya była poważna i że należało zachować wszelką ostrożność. Zbliżyć się do karczmy musiał, nie mógł jednak być przez nikogo spostrzeżony. Nie wiedział bowiem jeszcze, jakie kroki przyjdzie mu przedsięwziąć.

Nie znając położenia, nie mógł na razie obmyśleć żadnego planu, ale pozostawił to narazie przypadkowi.

Zakłopotany nie mało, posuwał się rowem naprzód, zakryty krzakami, rosnącemi przy drodze.

Gdy zbliżył się na jakie sto kroków od miejsca pożaru, zwolnił swoje kroki, musiał bowiem na to uważać, aby nie zdradził swej obecności najmniejszym szmerem. Miękkie, wilgotne dno rowu służyło mu, jakby za dywan, po którym mógł kroczyć bez żadnego hałasu, a gdyby nawet nogą nastąpił przypadkowo na suchą gałąź, albo leżący kamień, to trzask palących się belek i gontów stłumiłby tak lekki szelest.

Teraz dochodził go już wyraźnie głos obojga Byli oni tak zajęci swą pracą, że rozmawiali ze sobą zupełnie swobodnie, jakby w domu. Ostrożnie wychylił Harry głowę z pośród krzewów i w oślepiającym blasku promieni poznał Leblanców. Widział, że u stóp jednego z drzew grzebali niezmordowanie i jakieś przedmioty ukrywali w ziemi.

W tej właśnie chwili usłyszał głos żony Leblanca, która mówiła do męża:

— Nie możemy przedtem wołać o pomoc, póki z tego łajdaka nie zostanie popiół.

Poznał natychmiast znaczenie tych słów. Włosy z przerażenia stanęły mu dębem na głowie. Krew w żyłach zastygła mu z przestrachu.

Pierwszą jego myślą było wyskoczyć z rowu, wtargnąć do oberży stojącej w płomieniach i uratować mistrza. Niestety, obawiał się, że byłoby to bezowocne.

Instynktownie sięgnął do kieszeni i ku swemu przerażeniu skonstatował, że w pośpiechu zapomniał wziąć ze soba broni. Z gołemi rękoma trudno mu było rzucić się na morderczą parę.

Jedyna możliwość, jaka obecnie pozostawała, było sprowadzenie pomocy z Awinionu. Uspokajała go po części myśl, że mistrz, który tysiąc już razy wystawiony był na niebezpieczeństwo życia, nie podda się z rezygnacyą śmierci i nie pozwoli się żywcem spalić. A jeśli wogóle jeszcze żyje, to nie będzie zapóźno, gdy w ciągu pół godziny powróci z pomocą, aby mu ratować życie.

Po krótkiem namyśle pobiegł Harry pędem przez rów, starając się jak najprędzej dopaść swego roweru.

Szybkim ruchem wydostał wehikuł z pośród krzaków na szosę i skoczył błyskawicznie na siodło, aby czemprędzej popędzić z powrotem ku miastu.

Już w szalonym tempie ujechał kilkadziesiąt metrów, spodziewając się w paru minutach osiągnąć Awinion, gdy z przeciwnej strony lasu wynurzyła się ciemna postać jakiegoś mężczyzny i stanęła na drodze.

Harry zdrętwiał, przypuszczając, że ma do czynienia z napastnikiem, wobec którego nie miał żadnej broni.

— Hej, Harry! —wykrzyknął—przecież jednak pojechałeś w ślad za mną. Czy to ty jesteś? — spytał w nocnej ciszy znajomy jakiś głos.

Był to Szerlok Holmes.

Harry, który przejęty był troską o swego przyjaciela, wyobrażając sobie, że jest w beznadziejnem położeniu, zobaczywszy tak niespodziewanie swego nauczyciela, omal nie spadł z siodła.

Miła niespodzianka uczyniła na nim takie wrażenie, że jednego słowa nie mógł z siebie wydobyć.

— Więc ty mistrzu żyjesz? — zawołał drżącym głosem.

— Jak widzisz — odparł, śmiejąc się wielki detektyw — ale nie wiele brakowało, a byłbym upieczony, jak udziec na rożnie.

— Bogu dzięki — szeptał z radością, obejmując ramionami szyję ukochanego mistrza.

Holmes usunął go delikatnie na bok, cicho syknąwszy z bólu:

— O! o! młodzieńcze przypatrz się, że mam ręce cośkolwiek poparzone.

Ale to nic — dodał zaraz — i tak opłacił się mi mój ból, bo kochana parka, na którą nastawiłem sidła, nie wymknie mi się już z łapki. To, co wiem, wystarcza mi zupełnie do dowiedzenia, że Leblancowie są niebezpiecznemi zbrodniarzami, nie cofającymi się ani przed morderstwem, ani przed rabunkiem, gdy chodzi o ich korzyść.

ROZDZIAŁ IX.

Uwolniony.

Rozprawa przed sądem przysięgłych w Marsylii była w pełnym toku.

Paweł Chavresac zasiadł poraz drugi na ławie oskarżonych i po raz drugi jego szwagrowa, wdowa po zamordowanym bracie, powtarzała straszliwe oskarżenie przeciw niemu.

Niczyjej uwagi ujść nie mogło, że przysięgli, którzy mieli zrewidować wyrok sądu w Awinionie, pod wpływem przygniatających zeznań wdowy, nabrali przekonania o winie oskarżonego, z czem bynajmniej się nie kryli. Wrażenie, pod którem znajdowała się ława przysięgłych, udzieliło się także widzom, przysłuchującym się w wielkiej liczbie rozprawie.

Nie było prawie człowieka na sali, oczywiście poza oskarżonym i jego obrońcą, który powątpiewałby, że mężczyzna stojący przed trybunałem, nie jest mordercą swego brata. W sercach słuchaczy, obserwujących od dwu dni przebieg rozprawy, odbiły się żywym echem zeznania nacechowane zemstą i zawiścią wdowy po Bernardzie Chavresacu.

Z żywością i temperamentem właściwym mieszkańcom południowej Francyi dawał każdy wyraz swego przekonania gestem, wykrzyknikiem lub uwagą ukradkiem rzuconą.

Nawet mecenas Lagasse, który blady i widocznie zdenerwowany stał przed baryerą, oddzielającą go od oskarżonego, przedstawiał obraz beznadziejnego zwątpienia.

Widział, że sprawa jest przegrana i że mimo wszelkich wysiłków nie zdoła zapobiedz drugiemu wyrokowi skazującemu.

Wrażenia, wywołanego dotychczasowemi zeznaniami, nie można było niczem zatrzeć wobec przysięgłych.

Jeszcze do ostatniej chwili łudził się nadzieją, że Szerlok Holmes, który od ostatniego, tajemniczego ukazania się w jego kancelaryi w Awinionie nie dał żadnego znaku życia o sobie, przecież ukaże się w decydującej chwili. Także oskarżony żywił tę nadzieję, że słynny detektyw ukaże się na sali i przedłoży dowody, stwierdzające jego niewinność.

Adwokat badawczym wzrokiem mierzył audytoryum, spoczywając oczyma na każdym pojedynczym widzu.

Ale nic nie wskazywało na to, aby wśród tłumu zalegającego salę znajdował się upragniony i oczekiwany Holmes.

W pierwszych rzędach krzeseł, przeznaczonych dla widzów, siedziało kilku adwokatów i koncypientów, paru sędziów, w wolnej chwili od obowiązków swego zawodu, a poza tem paczka słuchaczy prawa z uniwersytetu i wreszcie zwykła gawiedź uliczna najgorszego gatunku.

Za stołem dziennikarskim, który przysunięty był do baryery odgradzającej audytoryum od miejsca przeznaczonego dla trybunału i ławy przysięgłych, siedzieli reporterzy z dzienników, którzy niezmordowanie notowali stenograficznie ważniejsze momenty rozprawy.

Zachowanie się owdowiałej baronowej Chavresacowej było dotąd punktem najwięcej senzacyjnym rozprawy.

Obecnie miał nastąpić moment niemniej ważny, mianowicie przesłuchanie małżonków Leblanców.

Para świadków weszła w ciemnej odzieży, jakby byli w żałobie. Po sali przeszedł szmer zainteresowania.

Już z poprzedniej rozprawy wiedziano, że Leblanc był ostatnim człowiekiem, który widział Chavresaca żywego tuż przed zamordowaniem.

W międzyczasie spotkało małżonków wielkie nieszczęście. Ich dobytek spłonął doszczętnie. Rozszalały element zniszczył oberżę, zostawiając z niej kupę gruzów i popiołu. Chociaż towarzystwo ubezpieczeń wypłaciło pogorzelcom odpowiednią sumę, dowiedziano się ze słów przesłuchiwanego Leblanca, że do pokrycia całkowitej szkody było bardzo daleko.

W dziennikach ukazały się obszerne notatki, w których omawiano nieszczęście małżeństwa, których rola w procesie jako świadków miała szczególniejsze znaczenie.

Leblanc opowiadał każdemu, czy kto chciał słuchać czy nie, że on i jego żona nie chcieliby powrócić za żadne pieniądze na miejsce zgliszcz.

Nie mieli najmniejszego zamiaru wracać do miejsca, z którego nic więcej nie wyratowali, prócz jednego życia.

Toteż przesiedlili się chwilowo do Marsylii i tu szukali kupca, któremu mogliby sprzedać teren przy szosie pod Awinionem.

Prezydent polecił Leblancowi usiąść na krześle przeznaczonem dla świadków, a oberżysta począł swe zeznanie.

Opowiadał on prawie dosłownie to samo, co podał w śledztwie i podczas pierwszej rozprawy. Rozwodził się, jak to baron i jego żona i szofer spędzili u niego noc, jak dalej on, Leblanc, razem z małżonką spostrzegli po odjeździe gości, że pozostawili szkatułkę i jak wreszcie kasetkę ozdobioną piękną cyzelerską robotą, wydał baronowi Chavresacowi, który po nią się wrócił po raz wtóry.

Leblanc ukończył swoje zeznania, a prezydent trybunału miał przystąpić do przesłuchania Leblancowej, gdy jeden z dziennikarzy, który znajdował się przy stole dla sprawozdawców zarezerwowanych, powstał i śmiałym głosem zwrócił się do przewodniczącego:

— Panie prezydencie — rzekł — jestem w możności do szczegółów podanych przed chwilą przez świadka Leblanca, dodać kilka bardzo ważnych komentarzy. Proszę o łaskawe przesłuchanie mnie.

Ze wszystkich stron zwróciły się na młodego człowieka ciekawe spojrzenia. Każdy starał się zobaczyć twarz dziennikarza, który powstał właśnie ze swego miejsca, i dobrowolnie zgłaszał się na świadka.

Na twarzy oskarżonego ukazał się przelotny, dyskretny uśmiech zadowolenia.

Adwokat Lagasse spojrzał na nieznajomą twarz wzrokiem, w którym wygasła nadzieja zaświeciła nowym blaskiem.

— Nie, nie, to nie był Szerlok Holmes!

Młody ten człowiek, o twarzy starannie wygolonej, nie był mistrzem detektywów, na którego pomoc tak liczył.

— Proszę o podanie nazwiska — odezwał się przewodniczący trybunału do obcego mężczyzny.

— Nazywam się Harry Wistler. Jako przedstawiciel i sprawozdawca londyńskiego Timesu, otrzymałem pozwolenie na przysłuchiwanie się rozprawie i jestem w możności wyjaśnić zbrodniczą aferę pod każdym względem.

Przedewszystkiem oświadczam, że pan baron de Chavresac, którego posadzono tutaj pod zarzutem morderstwa swego brata, jest zupełnie niewinny.

Słowa te wypowiedziane były donośnym i śmiałym tonem i zanim ktokolwiek mógł mu przeszkodzić, zwrócił się do Leblanców siedzących na krzesłach przeznaczonych dla świadków i ciągnął dalej:

— Znam mordercę, ściślej powiedziawszy, morderców i wiem, w jaki sposób mord został spełniony.

Słowa te zelektryzowały wszystkich.

— Co pan mówi? — zawołał prezydent do niezwykłego świadka — skąd pan wie o tem.

Spokój dziennikarza był niewzruszony. Pewnym głosem mówił dalej, nie zważając na hałas, który powstał między audytoryum:

— Opowiem sposób dokonania mordu z najdrobniejszemi szczegółami.

Następnie wskazując prawicą na oboje Leblanców, oświadczył:

— Ta dwójka dopuściła się zabójstwa. Proszę pana przewodniczącego, aby te dwie osoby otoczył ścisłym nadzorem.

Na sali hałas stawał się coraz głośniejszy. Z krzykiem i gestykulacyą spoglądali wszyscy na świadka.

Zdawało się, że nikt nie chce wierzyć w tak niesłychane oskarżenie.

Zerwała się prawdziwa burza przeciw domniemanemu oszczercy, ale Harry stał spokojnie, jakby lekceważył oznaki niezadowolenia ze strony tłumu.

Był nieugięty jak skała.

Wtedy podniósł się z krzesła Leblanc. Blady jak kreda, z drżącemi wargami chciał zbliżyć się do niespodziewanego oskarżyciela, ale bezsilnie opadł na siedzenie.

Leblancowa, która siedziała obok męża, zerwała się także.

Zmieniona na twarzy, skrzeczącym głosem krzyknęła pod adresem Wistlera:

— Ten człowiek kłamie bezczelnie.

Tak krzycząc, chciała się rzucić na świadka. Dwaj woźni sądowi przeznaczeni do pilnowania oskarżonego i czuwania nad spokojem na sali, odciągnęli ją siłą od Harrego.

Tumult uciszył się chwilowo i ustąpił miejsca napiętej ciekawości.

Wistler ciągnął spokojnie dalej:

— Opowiadanie Leblanca odpowiada prawdzie aż do chwili, w której opowiadał, że podróżni pozostawili w jego oberży kasetkę z klejnotami. Przypuszczenie, że szkatułka została zapomniana w zajeździe jest tak samo możliwe, jak ewentualność, że Leblancowie ją skradli.

W każdym razie to jest pewne, że Leblanc powziął zamiar poznajomić się z zawartością szkatułki, ale nie mógł jej otworzyć, bo nie znał mechanizmu. Potrząsał więc nią, uderzał o stół, rzu-

cał o ziemię, wszystko napróżno, bo skrzyneczka miała silne zamknięcie. Jak się spodziewał, puściło tylko kilka płytek złotych, z ozdób kasetki i upadły na ziemię, gdzie wbiły się.

Wistler wyciągnął z kieszeni złożony papier, rozwinął go i podał prezydentowi z objaśnieniem:

— Oto jest taka sztabka złota, która znalezioną została na podłodze w oberży Leblanców. Gdy Bernard Chavresac powrócił, aby zabrać zapomnianą kasetę, wręczyli mu ją Leblancowie, a wtedy on ucieszony pokazał na ciekawe kilkakrotne zapytanie jej mechanizm.

Pokrywka odskoczyła, a kosztowna zawartość kasetki ukazała się oczom chciwych karczmarzy.

Jedno z nich obojga, prawdopodobnie Leblanc skorzystał teraz ze sprzyjającego momentu i podczas, gdy baron był do niego zwrócony plecyma, skoczył nagle na niespodziewającego się napadu i zadał mu śmiertelny cios. Następnie zamordowany został obrabowany, szkatułka, której mechanizm znali, otworzoną została i klejnoty wyjęte, poczem ją znowu zamknęli.

Aż do nastania nocy zwłoki i automobil zostały ukryte w szopie. Następnie złożono trupa na samochodzie, położono kasetę przy nim i zaciągnięto wóz benzynowy pod osłoną nocy przez drogę nad brzeg dyablej przepaści, do której strącono wóz razem z trupem.

Świadek zrobił teraz pauzę.

Wszystkich oczy zwróciły się na Leblanca, który trzęsącemi kolanami powstał ze swego miejsca i drżącemi wargami wyszeptał:

— Nie, to nie jest prawda!

Jego żona zdawała się lepiej panować nad swymi nerwami.

Dzikim głosem zaskrzeczała jak megera:

— To jest kłamstwo! Niech udowodni swoje twierdzenia!

— Gotów jestem służyć dowodami każdej chwili! — oświadczył Harry przewodniczącemu trybunału.

— Gdzie są świadkowie na to? — ryknęła Leblancowa.

– Świadkiem jest starszy mężczyzna, który odkrył popełniony przez was rabunek, niejaki Juliusz Sarrien, z zawodu handlarz jarmaczny.

Nazwisko to podziałało na łotrowską parę jak uderzenie maczugą.

Przerażenie oberżysty jeszcze się powiększyło. Tylko jego żona starała się zachować jeszcze zimną krew.

— Gdzie jest ten świadek? Przedstaw nam go pan do oczu! — zawołała ze złością Leblancowa.

— Cierpliwości, droga pani — odpowiedział spokojnie Harry — świadek żyje i nie spalił się w waszej oberży.

I zanim ktokolwiek mógł mu przeszkodzić skoczył ku drzwiom prowadzącym ku poczekalni, służącej dla świadków i otwarł je na oścież.

W ciemnych ramach drzwi ukazała się pochylona postać starca w osobie Juliusza Sarriena.

Widok handlarza wystarczał, aby bestyi w babskim ciele zadać cios śmiertelny. Bezsilna opadła na krzesła.

W jej twarzy nie widać było jednej kropli krwi. Z przerażeniem wsparła się na mężu i patrzyła szeroko otwartemi oczyma na wchodzącego jakby na jakiego upiora. Zimny pot wystąpił na czoła obojga małżonków i spływał po zniszczonych pobladłych licach.

— On żyje — jęknął Leblanc — pochylił się z krzesła i usunął się bezprzytomny na ziemię.

Podniesiono go z ziemi i posadzono ponownie na krześle.

Prezydent po chwilowej przerwie, spowodowanej zeznaniami Harrego, podjął rozprawę na nowo.

— Czy pan jest handlarzem Juliuszem Sarrienem? — zwrócił się do starca.

— Nie — odparł tenże — to nazwisko służyło mi tylko do odegrania pewnej roli.

To mówiąc, zerwał energicznym ruchem ręki perukę i brodę przyprawioną.

— Moje nazwisko jest Szerlok Holmes. Przynoszę dowody, że baron Paweł Chavresac jest niewinny, że ci oto dwoje są mordercami jego brata, że oboje Leblancowie spalili swoje domostwo, aby mnie, który wkręciłem się do ich oberży w przebraniu kramarza, żywcem spalić, gdy tylko spostrzegli, że odkryłem ich zbrodnię.

W krótkich słowach opowiedział Holmes swoje przygody od chwili, kiedy spotkał się w Paryżu z obrońcą Lagasse, aż do uratowania się z pośród morza płomieni.

Wszyscy, zarówno sędziowie jak i słuchacze, przysłuchiwali się w skupieniu opowiadania detektywa. Dla Leblanców było ono jakby głosem trąby sądu ostatecznego.

Gdy Holmes skończył, byli wszyscy jakby

oszołomieni jego zeznaniami. Nawet przewodniczący, chociaż przyzwyczajony do dramatycznych epizodów w czasie rozprawy, milczał widocznie poruszony.

Leblanc siedział jak nieprzytomny. Tylko jego małżonka nie dawała jeszcze za wygraną.

– Wszystko kłamstwo! — wołała. — Niech ten pan udowodni!

— Udowodnię chętnie — rzekł Holmes. — Po pierwsze proszę przesłuchać jubilera Dawideta, u którego usiłował Leblanc sprzedać część zrabowanych klejnotów, dalej podam zaraz miejsce, gdzie zbrodnicza para zakopała swoją zdobycz, względnie pokażę go sam komisyi sądowej.

Teraz nawet usposobienie audytoryum zmieniło się gruntownie.

Na sali rozlegały się tak głośne okrzyki przeciw Leblancom, że przewodniczący kazał opróżnić galeryę.

Małżonków zaprowadzono do aresztu śledczego, a barona Chavresaca wypuszczono natychmiast na wolność.

Kiedy Chavresac opuszczał salę sądową w towarzystwie Holmesa, adwokata i Harrego, publiczność była tak rozentuzyazmowana, że wzięła ich na plecy i zaniosła w tryumfie aż do powozu.

Woźnica mógł tylko z wielkim trudem powozić wśród cisnącego się tłumu.

Do późnej nocy wznosiła publiczność pod oknami hotelu krzyki na cześć barona i jego trzech obrońców.

Szczególnie Holmes był przedmiotem burzliwych owacyi.

Afera została wkrótce zakończona.

Leblanc pod naciskiem druzgocących dowodów, przyznał się do winy i oboje zostali skazani na karę śmierci, którą im zamieniono na dożywotnie więzienie.

KONIEC.

Najbliższy [Nr. 44] naszego Tygodnika zawiera między innemi senzacyjną powieść z przygód **Szerloka Holmesa** p. t.

Inserat T. S. 8517.

---

2) FELJETON.

Dyabelski tuzin.

Ze wspomnień angielskiego detektywa.

Sprawcy mając dwa miesiące czasu, mogli go użyć do ucieczki i zatarcia wszelkich śladów za sobą. Mimo to oszukana firma nie traciła ani chwili naprózno, lecz poczyniła natychmiast wszelkie możliwe kroki, dla wyjaśnienia oszukańczej afery. Między innemi zwrócono się do mnie telegraficznie, prosząc o przybycie.

Gdy zjawiłem się w biurze fabrycznem, opowiedziano mi dokładnie wszystkie szczegóły odnoszące się do sprawy.

Pokazano mi korespondencyę, przedstawiono sfałszowane weksle i proszono, abym nie żałował trudów ani kosztów, byle sprawców wydać w ręce karzącej sprawiedliwości.

Już po pobieżnem poznaniu afery, przyszedłem do przekonania, że mam do czynienia z rafinowanymi szwindlerami.

Było najkompletniej wykluczone, aby takiego oszustwa mógł dokonać jeden sprawca, owszem było widoczne, że ma się do czynienia ze sprytną szajką. Wobec długiego upływu czasu od dokonania oszustwa, miałem małą nadzieję, aby śledztwo poszło zbyt łatwo i czy uda mi się wyłudzone towary odzyskać. Bo tacy kuci na cztery nogi złodzieje, nie trzymali z pewnością tak dużego zapasu drogich towarów u siebie, ale musieli się ich pozbyć i sprzedać jakimś odbiorcom.

Informacye, które zasięgnąłem co do agencyi Piotra Gregsona et Comp., brzmiały dodatnio. Była to wprawdzie tylko mała firma, ale uchodziła za nadzwyczaj solidną i uczciwą. Moje spostrzeżenia potwierdziły te informacye: ja także przyszedłem do przekonania, że agencya Gregsona jest pop każdym względem polecenia godna.

W kilka dni po terminie, w którym przypadła płatność weksli fabryki wełnianej w Harwik, przedłożono agencyi Piotra Gregsona et Comp. także inne weksle do zapłaty, ale również zostały przez firmę odrzucone, jako sfałszowane.

ZE ŚWIATA.

Dwadzieścia lat niewinnie we więzieniu!

Nowy York. Dwadzieścia lat temu, skazano pewnego handlarza bydła nazwiskiem Wiliam, uznanego wyrokiem sądowym za winnego morderstwa, na dożywotnie więzienie. W tych dniach najwyższy trybunał sądowy stanu Teksas zniósł dawny wyrok skazujący, a uwięzionego polecił natychmiast uwolnić. Oto bowiem, Karter, który miał być przez Wiliama zamordowany, odnalazł się, cieszy się zupełnem zdrowiem i żyć będzie jeszcze, zdaje się, długie lata.

W roku 1890 był Wiliam i Karter na targu bydła w blizkości Pecos River. Obaj znani byli z popędliwego usposobienia, a przychodziło między nimi do częstych sprzeczek i kłótni. Nagle znikł Karter z widowni i wszelki słuch o nim zaginął. Po pewnym czasie znaleziono w pobliskiej rzece zwłoki, które agnoskowano jako trupa zaginionego Kartera.

W toku dochodzeń za sprawcą śmierci Kartera — lekarz medycyny sądowej uznał bowiem, że znaleziona w rzece ofiara została najpierw uduszona, a później dopiero wrzucona do wody—aresztowano Wiliama pod zarzutem morderstwa i skazano na więzienie dożywotnie.

Obecnie pojawił się nagle Karter i ku swemu zdumieniu dowiedział się, że dawny kolega z powodu jego rzekomego zamordowania, skazany został na dożywotnie więzienie. Udał się natychmiast do sądu, a gdy stwierdzono identyczność Kartera, wypuszczono Wiliama natychmiast z kaźni na wolność.

Przywitanie dwu dawnych towarzyszy, biednego więźnia i rzekomego umrzyka, było nader rzewne.

William zapytany, gdzie tak długo przebywał, oświadczył, że poznał się przypadkowo przed dwudziestu laty z pewną kobietą i z nią wyjechał do Europy, gdzie zawarł związek małżeński. Gdy mu żona zmarła, nie pozostawiając żadnych dzieci, opuścił Europę i powrócił do stanu Teksas, z którym łączyło go tyle wspomnień. Gdyby nie jego niespodziewany powrót, Wiliam byłby może w lochu więziennym dokończył swego życia i to zupełnie niewinnie!

Nie można było dłużej wątpić, że miało się do czynienia z nieznanymi, rafinowanymi oszustami, którzy według pewnego systemu, popełnili z dużym sprytem szereg oszukańczych czynów. Był to szwindel wcale znaczny, bo wartość towarów, które ze wszystkich stron Anglii sprowadzono na nazwisko Gregsona et Comp., dochodziła prawie 30 000 funtów szterlingów.

Łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że powyższa afera oszukańcza wywołała w handlowych kołach wielkie wrażenie, Ogólnie wyrażano przekonanie. że nie będzie znowu zbyt trudną rzeczą przestępców wykryć, a towary odzyskać.

Oszuści obmyślili swój plan nader zręcznie, a umieli urządzić się w ten sposób, że wszystkie prawie towary równocześnie zamówili i odebrali. Ponieważ niektóre weksle były płatne po dwu, reszta zaś dopiero po trzech miesiącach, mieli złodzieje tymczasem czasu podostatkiem, aby ze sprowadzonymi towarami odpowiednio się uwinąć.

Nie dało się zaprzeczyć, że cała afera wyglądała tajemniczo; chciałem jednak tajemnicę tę rozwiązać, a rzecz sprowadzić do tego, czem była w rzeczywistości, to jest do prostego oszustwa.

Zadawałem sobie pytanie: Dlaczego szwindlerzy użyli firmy Piotr Gregson et Comp. za płaszczyk do swych nieczystych operacyi? Odpowiedziałem na to sobie w ten sposób: po pierwsze ponieważ firma była mała, a interesa przez nią zawierane, nie były zbyt znane, jak np. jakiegoś dużego domu handlowego, z rozgałęzionymi stosunkami. Towary mogły zatem być sprowadzone na nazwisko Gregsona et Comp., a mimo to liczne jej rzekome zamówienia nie przedostały się do wiadomości na zewnątrz, między koła handlowe. Jeśli się zaś o tych zamówieniach nie mówiło, firma Gregsona nie mogła o niczem tak długo wiedzieć, póki nie zostały jej weksle przedłożone do zapłaty. Zresztą ten sam cel mając na oku, sprawcy sprowadzili towary tylko od firm, znajdujących się w najdalszych częściach Anglii, bo w ten sposób bezpośrednie skomunikowanie firm dostarczających z agencyą było nader utrudnione.

Jedno nie ulegało wątpliwości, że sprawcy,

Fałszywy komisarz policyi.

Rzym. Onegdaj dokonał nieznany i niewyśledzony dotąd rzezimieszek, przebrany za policyjnego komisarza, ciekawego oszustwa.

W gabinetach pewnego hotelu, schodziło się wielu młodych arystokratów włoskich i oddawało hazardowej grze w karty. Była to gra wprost rabunkowa, bo stawki wynosiły nieraz tysiące lirów. Bywały wypadki, że w ciągu jednej nocy przegrywali młodzieńcy wsi, folwarki, całe mienia. Policya musiała albo o tej spelunce karcianej nie wiedzieć, a może, co jest najprawdopodobniejsze, ze względu na pięknie brzmiące nazwiska arystokratyczne, miała powody do patrzenia na rzecz przez palce.

O norze hazardowej dowiedział się jakiś sprytny hochsztapler i postanowił zrobić na zgrywających się młodzikach dobrzy interes, mianowicie pod płaszczykiem komisarza policyi.

Pewnego dnia zjawił się w hotelu komisarz policyi i niespodziewanie wszedł do gabinetów.

Pojawienie się przedstawicieia policyi wywołało wśród grających młodych arystokratów prawdziwy popłoch.

Komisarz skonfiskował nietylko karty, ale zabrał wszystkie banknoty, znajdujące się na stołach, oświadczając, że będą one służyły jako corpus delicti.

Wychodząc, zapisał sobie nazwiska wszystkich uczestników gry i polecił im zjawić się nazajutrz rano w dyrekcyi policyi.

Łatwo wyobrazić sobie miny paniczyków, gdy przybywszy do gmachu policyjnego, dowiedzieli się, że policya nie wie nic o całym fakcie i że widocznie padli ofiarą zuchwałego, przebranego oszusta.

Wpadek niniejszy spowodował w całych Włoszech niezwykłą senzacyę. Ciekawe i charakterystyczne jest przytem, że opinia publiczna sympatyzuje raczej z wesołym oszustem, „włoskim Koepenikiem“, niż poszkodowanymi młodzikami, przejętymi namiętnością karcianą.

Epilog afery jest wcale dodatni, bo pod naciskiem opinii, musiała policya zamknąć hotelowe „Monte Carlo“, a właściciela hotelu, za tolerowanie u siebie hazardu, pociągnąć do surowej odpowiedzialności.

względnie jeden ze sprawców, był poinformowany doskonale o stosunkach firmy Piotra Gregsona et Comp.

Gdy ustaliłem sobie te wszystkie momenta, postanowiłem odszukać agencyę Gregsona i Spółki. Firma powstała przed jakiemi trzema latami. Szefem był Piotr Gregson, starszy już mężczyzna w wieku około 70 lat. Współwłaścicielami byli obaj jego synowie i trzech bratanków. Agencya zajmowała się wyłącznie eksportem, a cały jej personal nie przenosił 15 głów.

Z bankiem „Union“ w Manchesterze była w stałych finansowych stosunkach, nic zatem dziwnego, że o ile ktoś pytał zarządu banku o informacye co do firmy Gregsona et Comp. brzmiały one jak najkorzystniej. Ponieważ w życiu handlowo-kupieckiem zasięga się informacyi przeważnie tylko przez banki, więc też dyrekcya banku „Union“ nie zadziwiła się zupełnie częstem odnoszeniem się do niej różnych fabryk o zaopiniowanie agencyi Piotra Gregsona.

Z kolei postanowiłem poinformować się o firmę, na którą obok banku „Union“ powołali się oszuści, zamawiający towary rzekomo w imieniu agencyi Gregsona, mianowicie o zakład handlowy Wistanley'a et Comp.

Co to mogli być za ludzie?

Mieli mieszkać przy Fountain Street, udałem się zatem wprost pod wskazany adres. Jak z góry już przypuszczałem, mogłem wkrótce skonstatować, że firma Wistanley et Co. właściwie zupełnie nie istniała.

Może przed rokiem pewiem pan, występujący pod nazwiskiem Johna Wistanleya, wynajął w jednej z kamienic przy Fountain Street lokal suterynowy. Składał on się z dwu dużych piwnic, za które czynsz roczny wynosił ośmdziesiąt funtów szterlingów.

Pan Wistanley opowiadał, że postanowił być samodzielnym agentem, przygotowawszy się poprzednio w sposób fachowy do tego, miał bowiem być przez kilkanaście lat współpracownikiem pewnej dużej agencyi handlowej.

(C. d. n.).

Ciekawa kroniczka.

Istnieje pewien gatunek drzewa zwany „umbu“, który jest wysoki na 5—6 metrów, zaś gruby na 3—4 metr. Drzewo to wygląda, jak chata.

Jezioro słodkie pod Killarney w Irlandyi, sławne jest z tego, że żyją w niem śledzie.

Gdyby kto chciał pociągiem pospiesznym, biegnącym 60 kilometrów na godzinę, jechać w górne przestworza do gwiazdy Centaura, musiałaby jego podróż trwać 70 miliardów lat.

W ostatnim sezonie zimowym cena luksusowych gatunków futra poszła o 100 do 130 procent w górę.

Babylon dostarczał w szóstem stuleciu rocznie półtora miliona miar zboża.

Ceny za surowy materyał tytoniowy wahają się między 36 halerzami, a 96 koronami za kilo. Mowa tutaj oczywiście o krajach, gdzie niema monopolu tytoniowego (jak n. p. w Austryi), ale dozwoloną jest prywatna uprawa tytoniu i swobodny handel tą rośliną.

Nasiona pewnego gatunku kwiatu lotosu (Nelumbium speciosum), posiada zdolność kiełkowania nawet po 150 latach.

W Shinano, prowincyi japońskiej, spożywane są młode pszczoły, jako poszukiwany i ceniony przysmak.

W Honkong, mieście chińskiem, doskonale administrowanem, umiera mimo to 1200 ludzi rocznie na dżumę.

Przyrząd mierniczy, wynaleziony przez inżyniera Browna, odmierza z dokładnością jednej cztero tysięcznej ($1/_{4000}$) milimetra.

Każdego roku 17-go grudnia zjeżdżają się w Londynie wielcy handlarze futer z całego świata i oznaczają cenę za poszczególne gatunki futer na sezon bieżący.

Najstarszym mieszkańcem białej rasy w niemieckich posiadłościach południowo-zachodniej Afryki jest misyonarz nazwiskiem Böhm, 73 lat liczący. Na miejscu jest już od czterdziestu kilku lat.

ALLOTRIA.

Co się trafi.

Filantrop: Ma pan jakie zatrudnienie?
Wagabunda: Nie!
Filantrop: To może panu nastręczyć pracę?
Wagabunda: Ee... nie!
Filantrop: Dlaczego nie?
Wagabunda: Za duże mrozy!...
Filantrop: Więc co pan wogóle robi?
Wagabunda: Co się trafi...

Prawdziwy patryotyzm.

Książę (który w ubiegłem stuleciu odbywał podróż wizytacyjną po kraju odezwał się w ten sposób do deputacyi pewnego miasteczka): Cieszę się, że mogę w was poznać ludzi, przejętych gorącym patryotyzmem, którzy zawsze wiernie stali przy naszem berle!

Prowadzący deputacyę (w zapale): Tak, jaśnie oświecony książę! Bo i pocóż mielibyśmy narażać się niepotrzebnie na areszt?

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.